Nr. 45. Warszawa, dnia 11 Listopada (30 Października) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z AUSTRYI.

Zaznaczaliśmy wielokrotnie, że Austrya jest taką tkaniną, dla której wszelkie nadprucie staje się bardzo niebezpiecznem, gdyż nie wiadomo, gdzie się zatrzyma. Jednym z ważniejszych zadziergów tej tkaniny był hr. Taaffe, zwany słusznie „instytucyą państwową,“ gdyż on rzeczywiście związywał i trzymał różnorodne żywioły, rozdzielające się przy każdej sposobności. Dziś, gdy wysadzono go z siodła, wytworzyło się położenie, w którem prawie niepodobna zaprowadzić żadnego trwałego ładu. Do rydwanu państwowego zaprzęgają się coraz inne rumaki, z których każdy go ciągnie w przeciwną stronę, a niepodobna zrobić takiej kombinacyi, którąby pozwoliła ruszyć go z miejsca i posuwać w pewnym stałym kierunku. Szczegóły tego położenia przedstawia poniżej nasz korespondent wiedeński.

„Przed dwoma tygodniami krążył w prasie i wśród publiczności tutejszej frazes często powtarzany o Austryi, która „odrazu wstąpiła w dwudzieste stulecie.“ Dziś słowa te brzmiałyby już nieco śmiesznie, gdyż okazało się tymczasem, że stosunki austryackie przypominają bardziej wiek X-ty, aniżeli XX-ty, że wpływ jednego potężnego magnata potrafi obalić prezesa gabinetu, który przez lat piętnaście opierał się zwycięzko wszystkim z kolei stronnictwom parlamentarnym. Okazało się dalej, że drobna niegrzeczność, popełniona wobec hr. Hohenwarta, stała się dla hr. Taaffego zgubniejszą, niż wszystkie grzechy polityczne, których dopuszczał się w ciągu swych rządów. Gdyby prezes gabinetu o kilka godzin przed wniesieniem swego projektu reformy wyborczej uwiadomił był długoletniego przyjaciela o swym zamiarze, kto wie, czy przyszłoby wogóle do przesilenia ministeryalnego? Okazało się wreszcie — a jest to niezawodnie najwybitniejszą nauką, wypływającą z treści ostatnich zdarzeń — że pod różnorodnemi hasłami liberalizmu i konserwatyzmu kryją się dążności dość pokrewne i że wszystkie stronnictwa polityczne łączą się w jeden obóz, skoro widzą przed sobą wspólnego wroga — proletaryat, domagający się równouprawnia.

Hr. Taaffe poległ więc w pojedynku z hr. Hohenwartem. Pozornie kula przeciwnika ugodziła go w samo serce, lecz mimo to bynajmniej nie jest to wykluczonem, że po kilku miesiącach ujrzymy go znów na ławie ministrów. Tymczasem Austrya otrzymała nowego prezesa gabinetu, którego zadaniem będzie utworzyć w najbliższych dniach ministeryum koalicyjne. Jest nim książę Alfred Windischgrätz, magnat czeski, wnuk słynnego „zdobywcy Wiednia“ z r. 1848, feodał i konserwatysta najczystszej krwi. Liczy on obecnie lat 42, jest od lat siedemnastu dziedzicznym członkiem, a od roku drugim wice-prezydentem Izby panów. W sejmie czeskim bronił zawsze ugody czesko-niemieckiej, a gdy w przeszłym roku większość feodałów oświadczyła się za odroczeniem ugody, książę Windischgrätz złożył godność prezesa klubu wielkiej posiadłości, którą piastował od r. 1890. Przy tej to sposobności nazwisko jego nabyło pewnego rozgłosu w kołach politycznych, czemu zawdzięczał, że został wybrany prezesem delegacyi austryackiej przy ostatniej sesyi. Na stanowisku tem dowiódł niezwykłej energii. Kiedy bowiem przypadkowa większość delegacyi oświadczyła się przeciwko pewnemu jego zdaniu, zabrał natychmiast swe papiery, oddał przewodnictwo Jaworskiemu i zasiadł na ławach delegatów, a gdy następnie delegacya na wniosek Plenera wezwała go do powrotu na krzesło prezydenta, uczynił wprawdzie temu życzeniu zadość, ale w dalszem kierownictwie obradami natychmiast znowu przeprowadził swe pierwotne zdanie.

Osobistość przyszłego prezesa ministrów jest zresztą dość obojętną, gdyż stanie on na czele gabinetu koalicyjnego, który z góry zastrzeże sobie jak największą niezawisłość. Lista członków jest dziś jeszcze dość niepewną. Zdaje się, że ze strony konserwatywnej wejdą doń dwaj dotychczasowi jego członkowie, hr. Schönborn, jako minister sprawiedliwości i Falkenhayn, jako minister rolnictwa. Ze strony niemieckiej dostanie się niezawodnie do gabinetu Plener, jako minister finansów. Ze strony polskiej otrzymają teki prawdopodobnie Jaworski i Madejski (a może Bobrzyński. *Red.*).

Jakimkolwiek zresztą będzie skład, to pewna, że gabinet ten nie będzie żył długo. Sama myśl o stosunkach koleżeńskich i o wspólnej pracy osób tak sprzecznych między sobą dążeń i zapatrywań, jest niedorzeczną. Koalicya spełniła swój cel, zwalczywszy hr. Taaffego i przekona się sama, że nie jest zdolną do pracy dodatniej z chwilą, kiedy zechce ułożyć swój program polityczny.

Czy program ten zawierać będzie kwestyę reformy wyborczej? Pytanie to wydaje mi się bardziej zajmującem, niż los, który czeka przyszły gabinet ks. Windischgrätza. Wedle pogłoski, która wyszła tu w ostatnich dniach z kół widocznie dobrze poinformowanych, przyszłość reformy wyborczej byłaby zupełnie niezależną od nastroju i zamiarów nowego gabinetu. Projekt ten ma się opierać mianowicie na woli samego cesarza Franciszka Józefa. Myśl pierwotna reformy miała według pogłoski tej wyjść nie od ministra Steinbacha, któremu dopiero w ostatniej chwili poruczono zredagowanie projektu, lecz od ministra Kalnokego w porozumieniu z hr. Taaffem. Wywołać ją miały obawy wojenne, panujące w ostatnim czasie w ministeryum spraw zagranicznych i chęć wzbudzenia zapału patryotycznego w szerokich warstwach ludności. Ile prawdy w tej pogłosce, pokaże się niebawem z postępowania nowego gabinetu.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory do sejmu pruskiego nie sprawiły żadnej niespodzianki. Jak tego oczekiwać należało po systemie „trójklasowym,“ nawet według Bismarka „najnędzniejszym ze wszystkich systemów wyborczych,“ wyszła zeń większość konserwatywno-klerykalno-rolna. Ten ostatni pierwiastek składowy ma od pewnego czasu w Prusach i w Niemczech swoje ważne znaczenie, on bowiem stano-

wi rdzeń żywiołu, opierającego się układom celnym z Rosyą i żądającego wysokich murów dla jej zboża. Sejm pruski nie rozstrzyga wprawdzie takich spraw, ale ci sami „agrarczycy" znajdują się również w niemieckim, który już wkrótce zapewne będzie musiał zająć się zgryzieniem twardego orzecha celnego. Układy bowiem rusko-niemieckie ciągle postępują i chyba są już bliżej końca, niż początku.

W tegorocznych wyborach — według zawiadomień dotychczasowych — polacy zyskali o dwa mandaty więcej, tak że obecnie posiadać ich będą 19.

Przed kilku tygodniami wśród oficerów hanowerskich wykryto gorszące brudy: jedni z nich trudnili się lichwą, drudzy grą hazardowną, która ich wikłała w brzydkie sprawy. Kilku głównych winowajców wsadzono do kozy, w której jeden z nich się powiesił. Oburzony całem tem odkryciem cesarz wydał bardzo surowy rozkaz do oficerów, zabraniający im wszelkich gier hazardownych.

Podczas gdy schwytani w Kielu na szpiegostwie francuzi oczekują sądu w więzieniu, na granicy zachodniej zdarzył się jeden z tych częstych i drobnych wypadków, które mają własność dolewania oliwy do ognia: leśnik rządowy zabił dwu kłusowników francuskich na terytoryum niemieckiem. Według jego opowieści było tych kłusowników wielu i wszyscy strzelali do niego; jakim sposobem oni ani go drasnęli a on zdołał zabić aż dwóch, jest to zagadka, której rozwiązanie kryje się w jego głowie.

Telegraf zapewnia, że cesarz podpisał już upoważnienie rządu węgierskiego do wniesienia projektu ślubów cywilnych. Projekt ten wszakże ma być przedstawiony w Izbie dopiero wtedy, gdy prezes gabinetu upewni się, że będzie miał w niej większość. Chyba mu dotąd nie brakło czasu na takie upewnienie się.

Pomimo „świetnych" zwycięztw wojsk hiszpańskich nad kabylami, w Madrycie panuje przygnębienie a stary Canovas wydał odezwę, w której zachęca stronnictwa konserwatywne do zjednoczenia się „w obronie tronu i ołtarza." Ponieważ trudno zrozumieć, dlaczego pobici kabyle w Maroku mieliby grozić tronowi i ołtarzowi w Hiszpanii, więc nasuwa się dość natrętnie wniosek: 1) że nie zostali jeszcze wcale pobici i 2) że w kraju objawia się wrzenie, które już poprzednio zaznaczyliśmy, a które rzeczywiście jest niebezpiecznem dla obecnego rządu i ustroju państwowego.

Nieszczęścia chodzą gromadą — mówi przysłowie. Do zatargu w Afryce, do zamieszek w kraju przyłączyła się straszna katastrofa. W Santander okręt, wiozący dynamit, wraz z całym ładunkiem wyleciał w powietrze, a piekielny wybuch zabił lub rozerwał kilkaset osób, podruzgotał mnóstwo domów i sprawił niepamiętne spustoszenia. Dość powiedzieć, że podobno ani jeden z wyższych przedstawicieli władzy nie pozostał tam przy życiu. Jest to chyba największe zniszczenie, jakiego dokonał kiedykolwiek dynamit.

Nie dość tego. W Barcelonie, podczas przedstawienia w teatrze, jakieś niegodziwe ręce rzuciły z parteru dwie bomby, z których jedna wybuchła: kilkanaście osób padło na miejscu, kilkadziesiąt odniosło ciężkie rany. Co to za okrutna zbrodnia, tem okrutniejsza, że bezcelowa i dotykająca ludzi niewinnych! Bo i cóż jej sprawcy spodziewali się osiągnąć? Poprostu trudno przypuścić, ażeby ci ludzie nie byli waryatami.

BADANIA NAUKOWE.

NATURA I SIŁA.

III *).

Co do *powodzenia*, o którem wspomnieliśmy wyżej, to ono przy dzisiejszych stosunkach społecznych nie może być, jak chce Nietsche, „miarą siły"; byłoby ono taką miarą wtedy tylko, gdyby walka o byt między ludźmi nie komplikowała się w sposób niesprawiedliwy stosunkami społecznymi, lecz odbywała się przy równych szansach. Gdy dwaj rogacze śród polany leśnej wiodą ze sobą bój śmiertelny, to sarna pasie się spokojnie, instynktowo bowiem czuje, że jakikolwiek wypadnie rezultat walki, będzie on dla niej zawsze pomyślny: zwycięży silniejszy. Inaczej śród ludzi. Tutaj przewaga leży nie po stronie silniejszego, lecz lepiej uzbrojonego.

Na podstawie powyższych uwag o sile, możnaby *rzucić jaśniejsze światło na wiele objawów psychicznych i społecznych*, zrozumieć i ocenić lepiej wiele typów ludzkich tak w życiu, jak i literaturze napotykanych.

Na tej podstawie zrozumiemy łatwo np. pewne *objawy jednostronności*, napotykane zwykle u ludzi wybitniejszych: gdy maszyna zużywa znaczną siłę w jednym kierunku, w innych okazuje się brak; dla tego ludzie genialni bywają w pewnych kierunkach głupcami; dla tego to siła, która tryska z pod pióra pisarza bądź jako ogień temperamentu, bądź jako lawina erudycyi (wykluczające się najczęściej) nie tryśnie mu ogniem krwi na twarzy, ani zamigoce sprytem życiowym, jak u zwykłego filistra, który jednak jako maszyna dynamiczna, jako suma energii, jako siła absolutna, jako „równoważnik mechaniczny" jest miernotą wobec tamtego. Tem się też tłomaczy tak często napotykana praktyczna niezaradność ludzi idei, którzy dają się zwykle opanowywać i wyzyskiwać głupcom. Człowieka idei możnaby z tego stanowiska porównać do owego wielkiego kapitalisty, który cały swój kapitał umieścił w jakiemś przedsiębiorstwie i nie może go w danej chwili i w danym celu podnieść, nie ma nic prawie w kieszeni; podczas gdy filister jest marnym kramarzem, który cały swój nędzny kapitalik nosi zawsze w kieszeni. Ta nieproporcyonalność, to wzajemne wykluczanie się znacznych przejawień siły jest tem godniejsze uwagi i tem bardziej odpowiada powyższemu wyjaśnieniu, że rozciąga się do kierunków bardzo blizkich, pokrewnych, które, pozornie biorąc, nie powinnyby się wykluczać; i tak np. wiadomo, że pełen zapału poeta Petöfi, co napisał tyle pieśni tak śpiewnych nie był w stanie wyśpiewać ani jednej melodyi i że pełen uczuć bohaterskich, zamiłowany w teatrze „zgłębiał bohaterów Schakespeare'a a przedstawiał lokajów Kotzebuego." Objawy te wynikają po części z trudności transmisyi sił większych, po części z nieekonomii „otamowań"; tylko wyjątkowo pomyślne warunki życiowe chronią jednostki wyższe od tej nieproporcyonalności, przykładem Byron.

Na tej podstawie można również, jak sądzimy, rozstrzygnąć często podnoszony spór, *czy kobieta w nauce, sztuce itd. może dorównać mężczyźnie*. Otóż zdaje się, iż, przeciętnie biorąc, absolutna siła kobiety,

*) Dalszy ciąg patrz nr. 43.

---

1)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Po długiej gorączce, w czasie której rzucała się na łóżku nieprzytomnie, nie poznając nikogo z tych, co ją otaczali—dziś pierwszy raz Wanda otworzyła oczy szeroko i spokojnym, biernym, obojętnym wzrokiem patrzyła w szyby okien.

— Może napijesz się wina? — spytała matka jej, podszedłszy do niej.

Nic nie odpowiedziała. Odwróciwszy leniwie wzrok od okna, patrzyła na matkę biernie, bezmyślnie, apatycznie.

Stefania poprawiła poduszki pod głową córki, nalała trochę wina w kieliszek i podniosła je do kredowo sinych ust Wandy, która lekkiem, prawie niedostrzegalnem skinieniem głowy dała znak, iż pić nie chce. Leżąc wyprostowana, patrzyła na matkę ciągle tym upartym, automatycznym wzrokiem, który każda zmiana kierunku męczy i osłabia.

Twarz jej zmieniła się bardzo. Wydłużona, o zapadłych policzkach, nabrała barwy i przezroczystości opłatka. Żyłki niebieskie, słabo pulsujące, wyraźnie odznaczały się na czole i szyi; wargi drobne, łagodnie wykrojone, straciły mięsistość i kolor karminu; włosy tylko zachowały dawny płowy odcień: rozsypane dokoła ramion i szyi, tworzyły rodzaj osłony, w której niknęły delikatne i kształtne jej rysy.

Kilka tygodni temu jeszcze była uśmiechnięta, różowa, miała silne, zdrowe rumieńce i wargi purpurowe. Mąż nazywał ją „wisienką," całując z rozkoszą jej usta.

Od miesiąca nie wstawała z łóżka. Cztery tygodnie trwała uparta gorączka, prowadząc w organizmie jej walkę między życiem a śmiercią.

Dziś — przed chwilą — po raz pierwszy otworzyła oczy spokojnie i przytomnie.

Bolesław, mąż jej, przystąpił do niej cicho, na palcach.

— Czy poznajesz mnie? — spytał, całując wychudłe jej ręce.

Ona nie miała siły wyrwać mu swej ręki, oczy jej jednak mówiły:

— Nie znam cię, nie wiem, kto jesteś, nie znałam cię nigdy.

Powoli, z trudnością odwróciła wzrok od niego i przymknąwszy powieki, wpadła w sen mocny.

Całymi dniami spała dotąd. Budząc się, nie mówiła nic do niego. Wargi jej zadrgały od czasu do czasu zlekka: wlewano jej do ust wtedy trochę rosołu, odrobinę starego wina lub kilka łyżek mleka. Obojętna, nie zdradzając żadnym giestem zadowolenia z odbieranych pokarmów, połykała je automatycznie. Długi czas nie okazywała żadnych chęci, żadnych pożądań: bierna, drzemała całymi dniami.

W parę tygodni dopiero po ustąpieniu gorączki powiedziała pierwszy raz wolno, wyraźnie:

— Chce mi się jeść...

Podano jej kawałek kurczęcia w rosole.

Nie umiała ponieść do ust sama podrobionych włókienek mięsa.

Polepszenie następowało wolno, bardzo wolno. Dwa miesiące minęły, zanim objawiła po raz pierwszy chęć zejścia z łóżka.

Gdy Bolesław przystąpił do niej, aby wziąć ją, jak dziecko, na ręce i przenieść na fotel, spytała wolnym, osłabionym głosem, wskazując nań oczami:

— Kto on?

— To twój mąż: jakto, nie poznajesz go? — odrzekła Stefania, nasuwając na ramiona jej szal ciepły.

Wolno, niedbałym ruchem głowy skinęła na znak, że nie wie, nic nie pamięta.

— Ja nie mam męża — rzekła w końcu przyciszonym, jak gdyby siłą woli z rozleniwionych ust wydobytym głosem. Później dodała:

— Miałam wyjść za Maryana: on wyje-

jej równoważnik mechaniczny jest mniejszy niż mężczyzny, kobieta więc może wprawdzie dojść wysoko w pewnym kierunku, dorównać mężczyźnie, ale wtedy nastąpi u niej jeszcze większa, niż u tego ostatniego nieproporcyonalność, nierównowaga, okaże się zbyt wielki deficyt siły w innych kierunkach, jak wola, uczucie, wreszcie zdrowie fizyczne, deficyt tak wielki, że nawet kierunek główny nie będzie mógł być należycie zużytkowany.

Kwestya kobieca nasuwa na myśl kwestyę *powodzenia u kobiet*: powodzenie u kobiet mieli wielcy wojownicy, wielcy rozbójnicy, wielcy gracze, wielcy artyści, ba, nawet wielcy uczeni. Wielcy, wielcy, wielcy... dla czego? Bo wielkość to siła; chodzi o skierowanie tej siły w swoją stronę, o jej korzystną dla siebie transmisyę. Widzę tu uśmiech pewności siebie oraz politowania na ustach filistrów — dla uspokojenia ich więc dodaję natychmiast, iż nie twierdzę bynajmniej, aby istoty marne nie miały bardzo często powodzenia u kobiet, lecz są to już specyaliści w omawianym fachu, istoty, których siła, jakkolwiek mała, jest zwrócona w jednym pożądanym dla kobiet kierunku; nie trzeba jej dopiero zwracać, jest już gotowa; wiele więc kobiet woli rzecz gorszą gotową, niż lepszą, lecz daleką, niepewną, wymagającą zabiegów. Powyższe więc prawo siły należy stosować w obrębie każdej z dwóch powyższych grup („niespecyalistów“ i „specyalistów“) oddzielnie; jeżeli zaś porównamy obie te grupy z sobą, to musimy przyznać ku zadowoleniu filistrów, że „specyaliści“ mają przewagę a to dla tej samej zasady, którąśmy już poprzednio wyrazili porównaniem wielkiego kapitalisty i drobnego kramarza oraz dla tego, że transmisya sił wielkich jest trudna: jeżeli np. stosunkowo łatwo było cygance Carmenie odciągnąć dragona od gorliwych zajęć służbowych lub dziewczynie bretońskiej — „irlandzkiego“ rybaka — od morza, to o wiele trudniej przyszłoby im odciągnąć np. genialnego astronoma od obserwacyi ciał niebieskich i musiałyby zniecierpliwione, jak pewna włoszka do Rousseau'a powiedzieć „lascia la donna e studia la matematica.“ Zresztą większość kobiet wskutek tego niskiego poziomu umysłowego nie pojmuje wielkości, podobnie jak ktoś, co nie zna się na papierach wartościowych, woli srebrną dwudziestokopiejkówkę niż papier, który jednak zmieniony dałby wiele takich monet. Naturalnie, że maximum powodzenia powstaje wtedy, gdy wielka siła łączy się ze „specyalnością“; tak np. tradycyjne szczęście szlachty polskiej do kobiet wszelkich narodowości (a zarazem obecne jej niepowodzenie życiowe) objaśnia się wielką jej bezsprzecznie energią życiową nieuwięzioną przytem w żadnym fachu, nie pochłanianą przez żadną ideę. Kwestya powyższa przywodzi nam na pamięć Wokulskiego (z *Lalki* Prusa), którego na powyższej podstawie można lepiej zrozumieć. Nie nazwiemy go więc, jak niektórzy krytycy, „niezdarą“, ani nie będziemy moralizować po tołstojowsku, radząc „celibat“; ale zrozumiemy go jako olbrzymią siłę absolutną, która zmarnowała się przez nieekonomiczne „otamowanie“ przez zamknięcie w klatkę romantyzmu i metafizycznej etyki, w której go wychowano; zrozumiemy łatwo, że siła ta w razie lepszej „inżynieryi“ przyniosłaby społeczeństwu korzyści olbrzymie. Ci, co nazywają Wokulskiego niezdarą, uważają chyba, że jakiś subjekt bławatny lub fryzyer, ci zdobywcy serc subretek, przedstawiają siłę daleko większą. Czyż ci krytycy sądzą, że lew jest słabszy od szczura dla tego, że pierwszy rozbił potężną głowę o żelazną klatkę, podczas gdy drugi, dzięki swej marności, prześlizgnął się między jej szczeblami? To znaczy, że klatka romantyzmu ani żadnej innej idei nie może zamknąć tych, od mizernego umysłu, których wszelkie idee odbijają się jak groch od ściany.

Sądzimy, że na powyższych podstawach możnaby rzucić niejakie światło na wiele jeszcze innych objawów psycho- i socyologicznych, lecz praca na innem polu nie pozwala nam zająć się tem w sposób bardziej wyczerpujący i systematyczny.

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Antonio Fogazzaro. — Daniele Cortis. — Idealizm i poezya domowa.

Pokazaliśmy niedawno na tem miejscu, iż włoscy *veriści* są uczniami z jednej strony Zoli, z drugiej — Bourgeta. Obecna wszakże reakcya przeciw naturalizmowi odbiła się bardzo głośnem echem poza Alpami: najwybitniejszym zaś jej przedstawicielem jest Antonio Fogazzaro, poeta i powieściopisarz, nawiązujący katolickie i spirytualistyczne tradycye Manzoniego. Do tego poglądu doszedł on drogą dość pospolitą. Jest to człowiek temperamentu łagodnego, skłonny do egzaltacyi i marzycielstwa. Pierwsze jego poezye zdradzają przyrodzony smutek, niezdecydowanie, melancholię, spotęgowane przez nieszczęśliwą miłość, której dzieje opowiedział w bardzo wdzięcznym poemaciku p. t. „Miranda“: młody Enrico, nie chcąc zagradzać sobie przyszłości, porzuca kochającą i kochaną dziewczynę, która z rozpaczy i smutku umiera. Długo poeta, którego nie zdołały rozerwać ani początki sławy, ani łatwe miłostki, walczył z melancholią, a nawet myślą samobójczą i nareszcie wyszukał od nich ucieczkę. Rozumiemy bardzo dobrze, iż dusze strapione i chore znajdują ulgę w różnego rodzaju narkotykach materyalnych lub idealnych, czego wszakże nie rozumiemy, to gorliwości i pośpiechu, z jakiemi zalecają swe leki na wszystkie strony, często ludziom zdrowym, którzy ich wcale nie potrzebują. Powtórzyła się tu taż sama historya, której jaskrawy przykład przedstawia nam Tołstoj. W „Spowiedzi“ swej kreśli on nam młodość swą pełną rozpusty i wszelkich zdrożności; w następstwie musiały się one odezwać nastrojem znużenia i wyczerpania, który zwykle w takich razach zaostrza się pytaniem o sensie i celu życia. Odpowiedź na to pytanie nosimy zwykle sami w sobie: zależy ona od „tonu“ organizmu, od energii czynności nerwowej i od całej historyi każdego osobnika. Nie może tu prawie być jednakowej odpowiedzi dla dwu różnych ludzi. Co wszakże czyni Tołstoj? Oto uogólnia swój wypadek, sądzi, iż cała ludzkość stanęła zrozpaczona nad pytaniem o sensie życia, chwali nam lekarstwa, które jemu prawdopodobnie były nader pomocne, z któremi my wszakże nie wiemy co począć. Jest rzeczą naturalną, iż ludzie, którzy dużo żyli i używali, marzą o powrocie na łono natury i prostoty: wszak wyrafinowanie dworu Ludwika XIV skończyło na marzeniu o pasterzach i pasterkach, a nadżycie myśli encyklopedystów szukało wytchnienia w sielankach o „indyaninie“ a nawet w łażeniu na czworakach. Nie trzeba być także wielkim „klerkiem“, aby zrozumieć, iż ludzie, którzy się spa-

---

chał, potem — ja zachorowałam; to już tak dawno!.. Nic nie wiem, nic nie wiem!..

Osłabiona, po kilku minutach przebytych w fotelu, zażądała, aby napowrót przeniesiono ją do łóżka. Pierwszy ruch dowolny zmęczył ją: oczy jej wpadły; zesztywniała; była blizka zemdlenia.

— Nie zabierajcie mnie już stąd! — zawołała, ocknąwszy się po upływie godziny na miękkiem posłaniu.

— Wszystko mię boli teraz — dodała, przymykając oczy, które raził blask wniesionej lampy.

Była bardzo bezsilna. Nie mogła pomyśleć, że kiedyś wstanie i będzie chodziła tak, jak inni chodzą. Wyobrażenie podobne sprawiało jej zawrót głowy i mdłe, przykre uczucie osłabienia w ramionach, w piersiach. Nie mogła obliczać czasu i mierzyć wzrokiem przestrzeni.

Któregoś dnia Stefania, ubierając ją w świeży, biały szlafroczek, odezwała się:

— Wiosna nadchodzi: za miesiąc usłyszymy śpiew skowronka; do lata wyzdrowiejesz, pojedziemy nad morze; kąpiele wzmocnią cię.

Ona, słuchając matki, zaczęła przypominać sobie, co to jest miesiąc, ile dni po dniu nastąpić musi, aby wypełnić ten przeciąg czasu; co to jest morze, jak daleką wędrówkę odbyć należy, aby dostać się do niego.

Głowa zaciężyła jej, w uszach zaszumiało, w oczach, w skroniach uczuła ból i rozpychanie. Z płaczem padła na poduszki.

— Nie mów mi już o morzu i nie mów o wiośnie — prosiła matkę, łkając.

Lekarz nakazywał ciągle wielki spokój i unikanie wszelkich podrażnień. Na pytanie, kiedy pamięć i normalne władze umysłu wrócą chorej, odpowiedział:

— Gdy będzie silna i zdrowa...

Nie poznawała wciąż Bolesława; dzieci swoich nie pamiętała zupełnie. Na pytanie, czy chciałaby zobaczyć Mietka i Halkę, wstrząsała głową przecząco.

Nie chciało się jej dodawać:

— Nie znam ich, nie wiem nic o nich...

Była leniwa w mówieniu: każde słowo męczyło ją, przytem nie lubiła pytań. Wolała nie odzywać się zupełnie, aniżeli jakimbądź zdaniem pobudzić matkę lub Bolesława do zagadnięcia jej.

Stefanię pamiętała dobrze. Niekiedy, w rzadkich chwilach rozczulenia, nazywała ją, jak dawniej, przed chorobą, „mateczką.“

Ojca swego i brata Zdzisława poznawała również, nie lubiła ich jednak.

— Nudzą mię, niech wyjdą! — odzywała się, jeżeli zbyt długo siedzieli przy niej.

Bolesław nie nudził jej i nie męczył, jak tamci: z przyjemnością poddawała się jego pieszczotom, nabierając wszakże sił, stopniowo, zaczęła rozmyślać:

— Jak to być może, że ja mieszkam oddzielnie, nie z rodzicami, że Bolesław, obcy człowiek, ciągle jest przy mnie, całuje mię i pieści, a wszyscy pozwalają na to?.. Dlaczego mówią mi często o dzieciach moich, których ja nie pamiętam: co to wszystko znaczy?..

Wysiłek myśli nużył ją i wywoływał płacz spazmatyczny.

Lekarz zabronił wobec niej najlżejszej wzmianki o przeszłości.

— Wszystko wróci z czasem do normalnego stanu — mówił — tylko cierpliwości, cierpliwości!..

Bolesław, zajęty pracą, która na wiosnę wzmagała się z dniem każdym, mało czasu mógł poświęcać chorej. Wpadając do domu na chwilę, zastawał ją najczęściej śpiącą albo zmęczoną tak, że widzieć go nie mogła. Wieczorem nikomu, prócz Stefanii, wchodzić do niej nie było wolno: lekarz zabraniał wszelkich wrażeń, aby noce mogły mijać spokojnie i wzmacniały ją snem dobroczynnym. Zrana tylko witał ją zawsze na dzień dobry pękiem róż, hiacyntów, kamelij lub fijołków. Przywykła tak dalece do odwiedzin tych co rano z kwiatami, że płakała któregoś dnia, nie otrzymawszy bukietu z rąk Bolesława.

Nie mogąc zrozumieć, kim jest dla niej,

rzyli, igrając z miłością, żarliwie z czasem zapędzać będą swych bliźnich na utarte gościńce, nawet w razie, jeżeli sami nie śpieszą z odprowadzeniem skołatanej swej łodzi do bezpiecznego portu. „Daniel Cortis“ jest romansem nader cnotliwym: obowiązek tryumfuje tu w sposób tak niszczący nad instynktem, iż przypomina raczej szarańczę, niż tej tępiciela. Jest to historya miłości nielegalnej, którą dziwny i dziki przesąd — uważany przez autora, nie wiadomo czemu, za cnotę — powstrzymuje od naturalnego rozwoju. Daniel kocha i jest kochany przez kuzynkę swą Helenę, żonę zwykłego łotra giełdowego: niema między niemi ani miłości, ani szacunku, niema nawet węzła przymusowego dzieci. A jednak ona nie pozostaje z człowiekiem, którego ubóstwia, lecz jedzie z mężem, shańbionym w szacherkach, do Ameryki. Wszystkie te bezeceństwa odbywają się w imieniu jakiejś chińskiej cnoty. Helena i Daniel nie chcą od uczucia nic, coby ich „poniżało,“ biorą zaś tylko jego część „najszlachetniejszą.“ Autor wyobraża sobie, że w tym galimatiasie moralnym jest jakaś duma, wyniosłość i stoicyzm. Ależ jego bohaterka grzęźnie po uszy w błocie, żyjąc z człowiekiem, którym gardzi i marząc jednocześnie o innym: zapatrzona w gwiazdy, nie spogląda pod nogi. W samym zaś autorze nie jest to także objaw hypokryzyi i świętoszkowstwa. On raczej postępuje podług przysłowia: „kto na gorącem się sparzył, dmucha na zimne.“ Jest to człowiek nadzwyczaj szczery i surowo spogląda na swe obowiązki społeczne, nie zadawalając się egoistycznemi sprawami serca. Daniel Cortis jest demokratą pobożnym i w sprawach publicznych znajduje przeciwwagę namiętności, która go pożera. Romans ma więc oprócz strony miłosnej polityczną, gdzie obok ogólnych humanitarnych dążeń autor pracuje nad pogodzeniem kościoła i państwa. Uczucia i przekonania swych bohaterów oddaje on z wielkiem natężeniem, co stanowi główną, a może nawet wyłączną jego troskę. Jest to powieść czysto psychologiczna z tendencyą społeczno-moralną, w której dbałość o stronę zewnętrzną — opisów i wypadków — schodzi na drugi plan. To też styl autora nie jest plastyczny, ale raczej suggestywny i przekonywający. Zauważmy nareszcie, iż Fogazzaro to nie psycholog-dyletant, który z ciekawości tylko bada życie duchowe, ale raczej sędzia i kierownik sumienia, spirytualista, uznający duszę osobistą o pochodzeniu boskiem, nieśmiertelną i odpowiedzialną za swe czyny. Niestety, zadania spowiednika, które autor przed sobą stawia, wpadają często w starcie z temperamentem artysty. Przedstawiając niebezpieczeństwa namiętności, maluje on je z czarem tak głębokim, iż one raczej pociągną, niż odepchną czytelnika, pomimo mozołów autora. Zresztą trzeba przyznać, iż starania jego poniekąd uwieńczone zostały odpowiednim skutkiem. Celem jego marzeń jest odbudowanie rodziny, jako podstawy ludzkiego szczęścia. Otóż w ślad za Fogazzarem wystąpiła we Włoszech cała szkoła młodych poetów, którzy za przedmiot swych pieśni i zachwytów obrali „poezyę domową“ z Guido Mazzonim *) i Severino Ferrarim **) na czele. Jest to wznowienie i odświeżenie dobrze znanych motywów poetyckich, począwszy od pieluch, legalnych zapałów i smacznych obiadów a kończąc na wygodnych łóżkach i trwałych grobach. Głównie zaś wieszcze ci opiewają tylko własne swe żony! Czemu poeci nigdy nie opiewają swych żon? Złośliwcy twierdzą, iż w otchłani zmysłowości ginie cała poezya uczucia. Mickiewicz opiewał Marylę, a Słowacki Bóg wie kogo; zauważmy przytem, iż ukochane poety mogą być byle jakie, aby były cudze. Wszak Laura była matką dziewięciorga dzieci. Być może, iż w tej nienawiści wieszczów do poezyi „betów“ jest nietylko strach zadrzemnięcia, ale jeszcze jakaś instynktowna obawa o swą osobowość. Nasze „ja“ nie zna żadnych określonych brzegów: jest to potok wciąż zmienny, którego ani źródeł, ani ujścia nie znamy, który wszakże w przebiegu swym bardzo często może mieszać swe wody z falami innych potoków, tak że nie odróżnicie ich od siebie. Dłuższe pożycie dwu osób ze sobą wywołuje w „szczęśliwych wypadkach“ zrośnięcie uczuciowości, płynie wspólnym potokiem z jednego serca do drugiego, następuje to, co możnaby nazwać polaryzacyą duchową, gdy pewne zdolności i uczucia skupiają się w jednym osobniku, pozostałe w drugim — tak iż razem dopiero stanowią całość. Małżeństwo wytwarza jakiegoś psychologicznego hypogryfa, hyrcocerfa, fantastyczne zwierzę, w którem zatrata osobowości każdej z części składowych jest faktem nie do ominięcia. Może to objaśnia masę niedobranych małżeństw, spotykanych śród artystów: Heinego z subretką, Goethego z ekonomką itd. gdyż w takim wypadku przepaść pomiędzy stronami jest zbyt wielka i niebezpieczeństwo powyższe się zmniejsza.

Z drugiej strony ileż innego rodzaju przeszkód znajduje artysta na drodze ku t. zw. szczęściu domowemu! Żona, jeżeli istotnie kocha męża, jest zazdrosną o jego myśli i fantazyę, tylež, a może i więcej nawet, co o jego czyny. Niechaj poeta najidealniej wymknie się na chwilę ze świata realnego w świat marzeń i niechaj tam wyznaje jakiś ideał kobiecy — a jakże inaczej tworzą swe bohaterki poeci i powieściopisarze! — niewątpliwie zadaje ciosy i rany swej żonie, jeżeli jest czułą i rozumną. Jeżeli zaś pisarz bierze swe bohaterki nie ze świata marzeń, lecz z rzeczywistości, ze swych przygód i wspomnień, skazuje żonę na innego rodzaju męczarnie, zazdrość w przeszłości, ten najgorszy jej rodzaj, „potwór o zielonych oczach, karmiący się żywem, surowem mięsem.“ Proszę zauważyć, iż koniecznym warunkiem iście artystycznego utworu jest, że poeta, artysta powinien być zakochany platonicznie w swej bohaterce podczas procesu tworzenia. Inaczej niema „krystalizacyi.“ Pisarz, tworzący na papierze istotnie poetyczną kobietę, którą przyodziewa we wszystkie blaski fantazyi, „zdradza“ swą żonę niewątpliwie, gdyż niema różnicy, czy „krystalizacya“ się odbywa na istocie żywej, czy też na widziadle. Jeżeli zaś nie chce męczyć biedaczki i zostać wobec niej zupełnie niewiernym, musi się wyrzec tworzenia. Zresztą staje się to prędzej, czy później koniecznością. Niema tyranii okrutniejszej, niż tyrania kochających oczu, które czytają na waszej twarzy każdą myśl i są zazdrosne o każde marzenie. Wówczas wszelkie wymknięcie się z rzeczywistości („échappement dans l'idéal“) staje się niemożliwem, gdyż ten wzrok cierpiący, ale okrutny i przenikliwy, podcina skrzydła fantazyi, nie dopuszcza jej do lotu, ona opada, lodowacieje, staje się bezsilną. Czasami tyrania ta staje się daleko bardziej dotykalną. Nie pamiętam, który pisarz francuski, zdaje się Maupassant, opowiada gdzieś o pewnym malarzu-akademiku, którego kobiety na płótnach miewały zawsze bardzo piękne i rozmaite torsy, natomiast dolna połowa ciała, od pasa była zawsze jednakowa: chuda, niezgrabna i żółtawa. Fakt ten objaśniał

*) G. Mazzoni: *Voci della vita* 1893.

**) S. Ferrari: *Versi*, 1892.

---

czemu, jak bliski kuzyn, mówi jej po imieniu, całuje ją w oczy i w usta, bawi się jej włosami; lubiła go bardzo: nie drażnił jej, jak inni. Nigdy nie powiedziała mu:

— Nudzisz mnie, wyjdź stąd!..

Chorej, osłabionej jej wyobraźni wydawał się rycerzem z bajki, który na promieniu słońca codzień rano z kwiatami spuszczał się do niej...

Kwiecień ciepły, słoneczny, wiosną tchnący, zastał ją znacznie już pokrzepioną na siłach.

Co rano, około dziesiątej, przy pomocy matki i Bolesława przechodziła z łóżka na fotel. Do południa, okryta ciepłym szalem, w miękim wełnianym szlafroczku siedziała przy otwartem oknie, patrząc na pęki rozwijających się agrestów i porzeczek w małym, sztucznie na miejskim bruku, dla niej wyłącznie urządzonym ogródku. W południe, po zdrowym, przez lekarza zaleconym posiłku, którego teraz napierała się często, zmęczona wracała do łóżka.

Jasne wieczory księżycowe, srebrna Wenus, czystym blaskiem w jej okna wpatrzona, dziwnie drażniąco działały na nią: czegoś się bała, słyszała dokoła siebie tajemnicze szelesty i szmery; w smugach światła, pełznącego po posadzce, dostrzegała długie, białe cienie, które otoczywszy ją zwartem kołem, tańczyły, pląsały, biegały przed nią i za nią, wyglądały z każdego rogu pokoju.

Strwożona, drżąca, majaczyła noc całą. Obrazy te same, które chaotycznie snuły się przed nią w czasie choroby i nie przestały męczyć jej nawet już po ustąpieniu gorączki, teraz utkwiły w umyśle jej dziwnie wyraźnie, o jasnych, przezroczystych konturach.

Były to obrazy przeszłości, lecz nie najbliższej, nie tej, w której została żoną ukochanego człowieka i matką krzykliwego, żarłocznego Mietka oraz delikatnej, białej Halki o rzeźbionym profilu kamei: były to obrazy przeszłości dawnej, przed pięciu laty minionej...

Nie umiała jeszcze myśleć ściśle z pewnem logicznem uporządkowaniem i ugrupowaniem pojęć; nie byłaby umiała powtórzyć ani jednego ważniejszego zdarzenia z ostatnich lat pięciu swego życia, które, niby jedno słabo, niczem z resztą wydarzeń nie połączone ogniwo, wypadło z jej pamięci; drobiazgowo wszakże w dorywczych, mijających szybko, lecz misternie wykończonych zarysach przypominała sobie każdy, najmniej znaczący szczegół w stosunkach swoich z Maryanem.

Czem był dla niej Maryan? Czy kochała go kiedykolwiek?

Nie, nie kochała go nigdy: wiedziała o tem, była tego pewną. Wnikając w najgłębsze tajniki uczuć swoich, dochodziła zawsze do wniosku, że obraz jego, przesuwający się niegdyś przed powiekami jej ustawicznie, był narzucony...

Przez kogo? Czy ktokolwiek i kiedykolwiek kierował jej wolą? Nie, bezwarunkowo nie. Matka robiła jej uwagi, jakie każda matka robi swej córce; brat i ojciec perorowali w chwilach złego humoru, który przechodził za pierwszym jej uśmiechem, pierwszą kokieteryjną minką, z jaką spojrzała na nich. Nikt i nigdy nie rządził nią: była swobodna jak ptak, ubóstwiana i pieszczona przez całe otoczenie swoje...

Maryan pierwszy owładnął nią wbrew jej woli.

Stanowczo nie kochała go nigdy. Myśląc o nim, doznawała zawsze wrażenia trwogi.

Jeżeli przeszło przez głowę jej kiedykolwiek przypuszczenie, iż może zostać żoną jego, zdawało się jej, że zapada w przepaść z zamkniętemi oczami, a gromada kruków złowróżbnych kracze nad nią:

— Jesteś zgubiona!..

Nigdy, przenigdy nie byłaby mogła być z nim szczęśliwą: przerażał ją dziwactwem, kaprysami, paradoksalnem postępowaniem swojem.

(D. c. n.).

C. Walewska.

się w sposób bardzo prosty. Zazdrosna małżonka mistrza pozwalała mu brać modele tylko dla górnej połowy ciała, dla dolnej natomiast służyła mu nieodmiennie sama za wzór. Biedak dla „spokoju i szczęścia domowego" zgadzał się na tę słodką tyranię. Ten przykład bardzo dobrze objaśnia myśl naszą: każdy artysta, pisarz i poeta, musi mieć przed oczyma model i o model ten małżonka musi być zazdrosną, u pisarza jeszcze bardziej, niż u malarza, gdyż u pierwszego model jest jeszcze przedmiotem „krystalizacyi." A więc trzeba się ograniczyć, trzeba ściśle określić sobie sferę, z której myśli nie wolno wybiegać, mianowicie sferę ogniska domowego. Rezultaty w ten sposób otrzymywane świetnie poznać można z poezyi domowej, która obecnie bujnie rozkwita we Włoszech, na pociechę ludzi cnotliwych. Oto np. Severino Ferrari, siedząc przy kominku w szlafrnycy i pantoflach, słyszy od starego szczepu, pokrytego płomieniem, następującą przemowę: „Nareszcie stałeś się człowiekiem rozumnym! Wieczorem zrzędzisz na wydatki, grzejąc nogi u pieca. Ah! napróżno blondynka i brunetka przechodzą koło ciebie na ulicy! Napróżno pośród wybuchów śmiechu gospodarz rozlewa iskrzące się chianti! Ty, poważny, ze ściągniętemi brwiami starasz się wywichnąć sobie szczęki, gryząc orzechy!" Tak przemawia stary szczep, tak poeta utracił swą koronę z liści, swe gałęzie pełne gniazd, swe kwiaty pełne zapachów. Ale nasz wieszcz „faisant bonne mine au mauvais jeu" pociesza się w sposób następujący: „Kto spędza dobrze życie w pracy, temu ono ofiaruje inne pachnące korony. I chleb, który spożywamy w pocie czoła, dodaje sił do walki codziennej. I pijemy z wesołej szklanki zdrowia, które się uśmiecha! A jeżeli żona podpiera białą ręką naszą głowę zadumaną i znużoną, jeżeli psotniki dzieci hałasują po domu... to czyż nie jesteś zmuszony się śmiać i przyjąć udziału w ich grach?" Oto co znaczy „faire bonne mine au mauvais jeu."

L. W.

DJABEŁ W POEZYI.

II.

Jakkolwiek niezwykłą trudność stanowić musiało dla p. Ig. Matuszewskiego połączenie w jeden temat wszystkich niezliczonych odmian dyabła i jego synonimów, to jednak z chwilą ześrodkowania ich koło dwóch osi— demona ujemnego i demona dodatniego, miał przed sobą drogę gładką i wyrównaną. Można było zatem podążać przed siebie w kierunku dwóch równoległych szlaków rozwojowych i na te dwie nici nanizać wszystkie nadające się do tego gatunki. Przedmiot niewiele ucierpiałby na tem, że niektóre podgatunki, mieszańce albo formy niewyraziste zostałyby w ten sposób pominięte, albowiem zyskałaby całość, której przybyłoby spoistości i myśli przewodniej. Autor wybrał jednak metodę inną; rozpatruje wprzód pojedyncze grupy plemienne i literackie i dopiero z tych chaosów, prawdziwych *disjecti membra poetae* wyławia niejako osobników obu odmian. Jest to indukcyjność godna uznania ale ona, rzecz prosta, musi być z konieczności *pozorną* tylko, boć bez planu gromadzić surowca nie było można, a powtóre odbiera ona pracy odpowiednią szerokości i motywu — szerokość polotu. Ona to powinna pokutować za to, że na początku i na końcu, czyli w ważnej wielce dobie starożytności oraz w czasach nowych panuje tu ład, stanowczo za mały.

Ale więcej daleko, niż o układ książki, chodzi nam o istotę wywodów ewolucyjnych, a właśnie zgodzić się na nie nie możemy.

Przedewszystkiem nie widzimy racyi równouprawnienia djabła złośliwego z djabłem bohaterskim. Różnica ich stanowisk jest tak olbrzymia, że z pierwszego robi figurę, osobę, wykonawcę i nosiciela pewnych określonych posłanników bóstwa, a drugiego przemienia w wielki system, w istny całokształt cech prometejskich, w doskonałość etyczno-estetyczną. Musset miał słuszność, nazywając Prometeusza starszym bratem szatana wbrew twierdzeniu autora, który zdaje się zapominać, że Azazel Henocha wedle słów apokalipsy był takim samym dobroczyńcą rodu ludzkiego i tak samo jest określonym, jak Prometeusz u Eschyla, z którym prosimy jeno porównać go. To nietylko upadły anioł, ale dawca *sztuki i nauki, przemysłu i medycyny*. A skoro taką samą uosobioną wzniosłością, choś nieszczęśliwą i niesprawiedliwie zwalczoną, jest szatan Caedmona, Miltona, Byrona i im podobnych, więc wypada, że jest on wyrazem pewnego szczytnego żalu i ideału, gdy djabeł szkodnik jest tylko dowcipnym pomysłem ludu i poezyi.

Stąd wypływa i różnica w długowieczności, którą p. Matuszewski przeocza, bo gdy jeden musi zniknąć z widowni razem z naiwniejszą wiarą, a póki istnieje, odgrywa zawsze tę samą rolę zbira, drugi istnieć musi tak długo, jak sam ideał i wraz z nim różnych zmian doświadczać.

Powtóre, nie jest on osobą. Jako pewna grupa idealistycznych pojęć i pragnień, jako niezmierzony program pożądań ludzkich, nie może on zmieścić się w piersiach nawet herkulicznych, lecz owłada zwykle kilkoma olbrzymami naraz. Jedną jest więc całością Milton i jego szatan, jędną duszą Kain i Lucyfer, jedną syntezą Beaudelaire i jego szatan. Co więcej, to pokolenie arystokratyczne demona bywa zawsze wykwitem podmiotowym poety i jako takie może się zamienić w czystą lirykę, rozpływać w nastrój, w pewien szereg myśli i uczuć, pośród których djabeł figuruje tylko swem imieniem, ale nie dotykalną, wyłonioną w kształty postacią. Te myśli i uczucia należało zatem właściwie podać w formie całkowitych sylwetek poetów, do czego zresztą dzisiejsza krytyka psychologiczna nas nałogowo no i chyba z korzyścią naszą, przyzwyczaiła.

Odpowie kto, że w takim razie praca urosłaby do rozmiarów przerażających? To już rzecz autora—ale nie ulega wątpliwości, że skoro on tylko potrąca i zawadza o poetów nieraz mających natury bardzo złożone, to i nie wtajemnicza nas bliżej w ich sposób myślenia i ich djabłów przedstawia nam tylko ze strony zewnętrznej, z powierzchowności. W takim stanie rzeczy musimy zdać się zupełnie na jego osobiste wrażenie, nie mając pewności, czy jakiej bardzo wybitnej postaci nie pominął, i naodwrót jakiej błahej nie podał za wielkość. Kto wie, czy właśnie tak się nie stało z dzisiejszym satanizmem Beaudelaire'a lub Jozueego Carducci, którzy djabła nie modelują, lecz jedynie ubóstwiają w odach i litaniach. Powiedzieć o nich, że są eklektykami, a o ich epoce, że przeżuwa inwencye Byrona i Miltona, można jeno ze stanowiska dobrego smaku, ale nie można spuszczać z uwagi, że to nowa, samoistna faza *idei* demonicznej, w której świetle djabeł zyskał jeszcze nową, promienniejszą aureolę, doczekał się pełnej apoteozy.

A gdzie przyczyna tego dziwnego kultu? W skrajnej negacyi naszego wieku, w pesymizmie, który do ostatnich granic doszedłszy, wypowiedział do reszty posłuszeństwo Bogu. I oto mamy bodaj najwłaściwsze rozwiązanie zagadki djabła w poezyi. Autor doskonale pojmuje i zaznacza, że w kierunkach Miltona i Byrona szło poetom o krytykę i rozkład, ale nie docięga faktu do skali zasady powszechnej. Inaczej byłby sobie ustalił prawo, że raz na zawsze każdy historyczny moment analizy wytwarza demonów dodatnich na złość i dla przeciwstawienia Bogu, którego niby drugiego Jowisza strąca się z wyżyn wszechwładzy i doskonałości. Poeci zrozpaczeni lub zgorzkniali żądają więcej, niż Jehowa dać chce i przeto wynoszą pod niebiosa humanitarność djabła i oddają mu całą połowę władzy. (W *Kainie* Byrona nie możemy też widzieć z autorem optymistycznego (!) uwielbienia rozumu (str. 95), lecz krytykę niesprawiedliwości, która płodzi ból i rany, stworzyła życie dla śmierci i wielkie szczęśliwe globy niebieskie zamieniła w martwe bryły). I naodwrót dla takiego optymisty, jak Algernon Swinburne, djabeł nie ma racyi bytu i zostaje przezeń zanegowany. Inni znów, jak ciekawa grupa rozpatrzonych przez p. Matuszewskiego rozjemców w rodzaju Wiktora Hugo i Soumeta, wróżą strąconemu aniołowi powrót na łono wiekuistej światłości. Są to również umysły skłonniejsze do harmonii i pogody i dla tej prostej przyczyny ich dyabły są wytworem krzyżowania dwóch ras, nie mogą ani równać się Bogu, gdyż w takim razie nie potrzebowaliby żądać przebaczenia, ani też być „nikczemnemi małpami" wieków średnich, bo dla takich sojusz z niebem byłby zbyt zaszczytnym. Te układy (w których bardzo często pośredniczy niewiasta: *La divine épopée* Soumeta, Eloa u Alfreda de Vigny. Św. Magdalena w *Łzie djabelskiej* Gautiera i in.) ze Stwórcą, autor poczytuje za dalszy ciąg procesu uszlachetniania djabła, za następstwo zbawiania go przez satanistów spółczesnych, lecz zapomina, że ci, co go na ten piedestał wnieśli, *są ateuszami* i ze zbawienia wszelkiego szydzą. Z nimi nic wspólnego niema kierunek kompromisowy, nawskroś połowiczny i blady. Łączyć więc ich w ogniwa jednego łańcucha — niepodobna.

Formuła rozwoju djabła w poezyi ma u p. Matuszewskiego inną jeszcze słabą stronę. Utrzymuje on, że ponury i nieprzejednany Aryman rozwija się najłatwiej na gruncie dualistycznym nauki reformowanej, gdy z trudnością puszcza korzenie w katolicyzmie. To chyba nieporozumienie! Właśnie protestantyzm ze swymi odgłosami Jehowizmu, z tradycyą nieubłaganej surowości i zazdrości Boga starego testamentu, jest nawskróś *moni*stycznym i przez to bezwzględne *mono*polizowanie wszechcnót na rzecz Stworzyciela świata uspasabiał do buntu i spisków. Naodwrót, katolicyzm odepchnął i zohydził państwo materyi i urzędownie przyznał istnienie jej króla — djabła. Kościół łaciński tem właśnie obciął skrzydła czartowi i zmusił do grania roli podrzędnej, że krainę ducha i niebios wypełnił blaskiem najwyższej miłości, która jak w *Boskiej komedyi* staje się naczelnem niejako tworzywem i źródliskiem bytu. Religia miłosierdzia i odkupienia mogła się nie bać krytyki, bo obiecywała szczęście i nagrodę, dawała nadzieję i pociechę, wobec których skargi i dąsy milkną. Chrystus mógł nie bać się buntu, jak Jahwe, bo nikogo nie krzywdził, lecz wszystkich zbawiał (nawet grzesznych Faustów, na których szczerzył zęby Mefisto). Jeśli zaś apostołowie jego na ziemi naukę paczyli, to wtedy mocą logiki, o której mowa, miewał i on malkontentów, skłonych do zawarcia paktu z djabłem.

Wolno nam chyba wyrazić żal, że autor nie wyzyskał należycie wskazówek filozoficznych, którem się jego materyał roił, książka bowiem, naderzajmująca i gruntowna dla estetyka — byłaby cenną wszechstronnie. Zostaje on widocznie pod wpływem ostatnich książek o literaturze indyjskiej i Wschodu i olśniony pięknemi teoryami wcieleń i przemiany bóstw, przenosi je zbyt pochopnie na stosunki chrześciańskie. Stąd to ustawiczne powoływanie się na dualizmy i monizmy, które nie

ujmują należycie rdzenia rzeczy. Grzech to zresztą łatwy do wytłomaczenia i wybaczenia w oczach każdego, kto zdoła dostrzedz, że autor zaczął widocznie od embryonu estetycznego i dopiero potem postawił sobie trudne zadanie oprawienia go w ramy ewolucyi. Niezwykła pełnia i bogactwo danych, wyłożonych językiem ładnym, spokojnie naukowym a często i kwiecistym, już sama stanowi zasługę.

Cezary Jelenta.

JAN MATEJKO.

„Non omnis moriar."

Tak mało wody upłynęło od dnia, w którym twórca „Stańczyka" pokazał swój własnoręczny portret, do chwili, w której rozeszła się wieść o jego śmierci, że niemal trudno się oprzeć domysłowi, iż rysy swoje uwiecznił w jej przeczuciu.

Umarł po krótkiej chorobie, a że urodził się w r. 1838, więc nie dobiegł nawet kresu szóstego krzyżyka. Jest to meta niedługa, jeśli zważyć, że niektóre z ostatnich jego dzieł, osobliwie zaś portrety, znamionowały energię i świeżość pędzla, będącego w dobie najwyższego rozkwitu. Jest to znów wędrówka bardzo długa, jeśli wziąć w rachubę ten nieskończony prawie szereg utworów, z pracowni jego wyszłych i szerszemu ogółowi znanych. Dodajmy do tych dwu faktów trzeci, niemniej dziwny, że Matejko się nie powtarzał, że wyzyskiwać wzorem mnóstwa, niemal wszystkich malarzy, pomysłów swoich nie lubił, a już będziemy mieli gotową charakterystykę. Składają się na nią olbrzymia, nie mająca spoczynku pracowitość, wielkie bogactwo pomysłu i co najważniejsza, stale natężona duchowość, czyli ogrom siły twórczej, która nie zapowiadała nawet w ostatnich płótnach najmniejszego wyczerpania.

Dziełami Matejki zapełniłby można galeryę i to nie dlatego, że niektóre z nich są olbrzymich rozmiarów, lecz że jest ich nieprzeliczone mnóstwo. I byłby przegląd ich choćby najzwięźlejszy niezmiernie trudnym, gdyby nie znajdowały wszystkie łącznika w charakterze historycznym. Ci dworzanie, biskupi, królowie, których taką liczbę odtworzył mistrzowsko z wizerunków nic prawie nie mówiących, są bądź co bądź częściami wielkich jego kompozycyj, jeno zaokrąglonemi w całość. Ale w obrębie tego niby jednolitego rodzaju znaleźć można pierwiastki najróżniejsze, spokój i dramat, sztywność dworską i zaciszny liryzm, tragedye wojny i elegię domowej żałoby, momenty zbiorowe epokowego w dziejach znaczenia oraz zimne studya starożytnicze. Dosyć przypomnieć ważniejsze tytuły, ażeby ta różnorodność motywu psychicznego w szacie pozornie jednorodnej, bo historycznej, żywo stanęła w wyobraźni: „Otrucie Bony", „Pożar Krakowa", „Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki", „Stańczyk", „Wjazd Henryka Walezyusza do Krakowa", „Kazanie Skargi", „Zygmunt August w Lublinie 1659 r.", „Hold Pruski", „Bitwa pod Grunwaldem", „Wit Stwosz", „Kopernik", „Śmierć Wapowskiego", „Zamojski pod Byczyną", „Śmierć Borkowicza", „Rejtan", „Joanna d'Arc" i portrety współczesne, szkice architektoniczne z Krakowa, malowidła szat i zbroi i wiele, wiele innych. Z czystem sumieniem można w wyliczaniu ich nie dbać o porządek i starszeństwo wieku, albowiem artysta ten jest przedewszystkiem indywidualnością tak potężną i odrębną, niekiedy aż do cudaczności, że z natury rzeczy najwcześniejsze jego płótna — są pokrewne najpóźniejszym przez swój jedyny w swoim rodzaju podkład duchowy.

Ta indywidualność to jego siła; występuje ona gwałtownie i żywiołem obfitym i trwa niezmiennie. Co wobec niej znaczyłyby dane o wychowaniu Matejki, na co nam wiedzieć, że się kształcił w Monachium, że stykał się z takiemi a takiemi wpływami, skoro im nie podlegał? Chyba to jedynie zasługuje na wzmiankę, że w Krakowskiej szkole sztuk pięknych, gdzie się kształcił pierwotnie, uznano go za zero, za mąkę, z której chleba nie będzie. Wobec tego i wielu innych podobnych zdarzeń dziwnem się wydaje, iż w swem „Nadaniu przywilejów Akademii krakowskiej" nie odmalował i przywileju brania miernot za geniusze, a geniuszów za miernoty. Bądźmy sprawiedliwymi jednak — grodowi podwawelskiemu zawdzięczał on wiele, to jest nie ludziom, lecz gmachom, pamiątkom, ogólnemu obliczu miasta, w którem łączą się rysy wysoce starożytne i charakteru pełne z wielką poezyą wspomnień i malowniczością kształtów i układu. Wogóle jednak Matejko jest w sztuce europejskiej czemś w rodzaju paradoksu, jak każdy zresztą prawdziwy geniusz, albowiem był niespodzianką. Jego majestat artystyczny nie był poprzedzony żadnymi heroldami ani paziami, wpadł na widownię sam, zapalczywy i rozkazujący jak król Lear, i dopiero za sobą ciągnie sznur dworzan, dworaków i trefnisiów nawet, którzy chwile jego rozdrażnienia wyzyskują, dumę łechcą i do dziwacznych wybryków usposabiają. Jeżeli co było dlań szkołą i kolebką, to całe wieki historyi, przez której szkła patrząc na czasy nowe, widział figurki cieleśnie i duchowo drobne. Cały się w swych wizyach wypiękniających przeszłość pogrąża i z tego względu jest romantykiem, jak Paweł z Werony lub Delacroix. Dla niego to co minione, zlewa się z tem, co wielkie, to co minione zyskuje blask niemal cudowny.

Ale to marzycielstwo nie jest u niego właściwością natury słabej, lecz całkiem odwrotnie — silnej, bogatej i żywotnej. Przebywa z ludźmi dawnymi, bo się ma za olbrzyma sam, a w nich widzi okazy na miarę Fidyasza. Podobno dręczyło go zawsze pochodzenie skromne, mieszczańskie i usilnie pragnął być uszlachconym; w tym celu chciał nawet swego Batorego *podarować* cesarzowi austryackiemu. W każdym innym wypadku byłoby to może próżnością, w tym jest jeno rysem dopełniającym, który świadczy o głębokiem, całą istność ogarniającem wcieleniu się w historyę i chęcią wspólnego zerwania z teraźniejszością. Bo czyż on nie dawał na każdym kroku dowodów, że mieszczaństwem dzisiejszem gardzi, że przed złotym cielcem pokłonów nie bije, a z pieniędzmi obchodzić się nie umie? I prawdopodobnie był tego zupełnie świadom, skoro bawiąc w Warszawie odpowiedział na toasty witających go, słowami poety:

> Płaszcz mego ducha nie jest wyżebrany,
> Ale świetnością moich przodków świetny.

Lecz nie wszystkie doby i rodzaje historyi dać mogą malarzowi natchnienie właściwe. Mimo przewagę idealizmu w poglądach, mimo jawną wsteczność przekonań, lgnął przecież do epoki najbardziej, że tak powiemy, mięsistej. Spójrzmy na daty, z których brał swoje wielkie sceny i wielkie głowy pojedyncze czy to świeckie, czy duchowne. Przeważa koniec wieku piętnastego, cały szesnasty i początek siedemnastego. Były to czasy, znane w świecie pod nazwą Odrodzenia, które ogarnęło nie tylko ducha ale i ciało i użyczyło postaciom piętna herkulicznego, bardzo często z odcieniem wybitnej duszy a w każdym razie z ogromną wyrazistością rysów. Lutry, Dürery, Wit Stwosze, wielcy artyści, rzemieślnicy, królowie, humaniści, jak Erazm lub Hutten, reformatorzy, drukarze jak Aldo Manuciusz, alchemicy, jak Michał Sędziwój, Falstaf. Henryk IV, Rabelais i Kochanowski, oto osobniki typowe plemienia, które albo w istocie było potężne wzrostem, albo tak portretowało siebie dzięki odrodzonemu *naturalizmowi*. Był to wielki przypływ *indywidualności* po jednostajni robót i dzieł *zbiorowych*. W nim to zasmakował Matejko, w nim pławił się, bo prawdopodobnie był mu blizkim krewniakiem z natury swego ustroju. Czyż to nie dziwne, że on, który malował setki dostojników kościoła z najdawniejszych czasów i dawał im scenaryusz nawskroś gotycki, nic w sobie gotyckiej miękkości, pobożności i ascetyzmu nie miał. Gdzie tu szukać Giotta albo choćby Pizańczyków? Wszędzie twardy, dosadny, lapidarny pochodzi jak gdyby z formacyi rzeźby kamiennej, a nie drewnianej gotyckich presbiteryów i ołtarzów. Innemi słowy, posiadał warunki wzorowe dla malarza, bo buntownicze poczucie mięśni i siły fizycznej, przepychu i koloru, obok potężnego ducha.

Było to więc drzewo, którego tęgie korzenie szeroko rozściełały się pod powierzchnią ziemi, wdzierając się w zagony sąsiednie. Matejko nie jest więc tylko malarzem swojskim. Jego styl potężnie renesansowy, królewsko muskularny, daje głowy polskie wyszlachetnione cywilizacyą całej Europy. W ramach wydarzeń z historyi swojskiej pomieszczał wszelkie narody: niemców, rosyan, prusaków, francuzów, włochów i nie można powiedzieć, ażeby zachowywał należyte różnice plemienne: piętno epoki zacierało je. Proszę tylko pomyśleć o *Joannie d'Arc*, *Grunwaldzie*, *Bonie*, *Skardze*, *Hołdzie pruskim*. Oto przyczyna, dlaczego mógł być rozumianym i cenionym przez zagranicę i nawet niemców, tak samo jak przez słowian.

Ogromna moc silnej poezyi przedziwnie szła u niego w parze z zaletami malarskiemi i oto dlaczego znów był mimo swą niezwykłość przystępnym dla tłumów. Malował wedle dawnych pojęć, które wybierały dla malarstwa chwile i sceny możliwie szerokie i wzruszające, ale prześcignął wszystkich rodaków w poczuciu tego, co szczególnie pod pędzel się naprasza i o farby woła. Kochał więc archeologię i z historyzmu i jako wielki znawca sztuki ozdobniczej, budownictwa i czciciel wspaniałości wieków minionych. Jako poeta o głębokiem i silnem uczuciu, umiał hamować swą krasomówczą, retoryczną, gromką swadę i roztapiać ją w momenty skupionej, już nie dworskiej ale domowej, zacisznej liryki. Stąd takie arcydzieła rzewności, jak *Zygmunt i Barbara* jak *Kochanowski nad Urszulką*, jak *Stańczyk*, jak *Wit Stwosz* z córeczką. Co tam znajdujemy? Żałobę ojca, nędzę ślepego artysty, miłość przecudną monarszej pary, zlanej w jedną pieszczotę, jeden uścisk. Lecz rogata dusza artysty odbierała im wszelką cechę czułostkowości, i hamowała poryw płaczu a muza opiekunka zdobiła je w piękny ruch, pełen wyrazu moment wzroku, śmiały układ figur. W tych płótnach zwięzłych i mało zaludnionych Matejko jest niezrównanym kompozytorem i zdobywa się na zaletę wdzięku i elegancyi, które czynią zeń nadwornego malarza królów i pięknych bohaterów, blasku korony i geniuszu. Ulubieńców swoich obdarza głową piękną, wyniosłą, polotną. Wielkie czoła z wielkiemi czuprynami na podobieństwo lwiej grzywy, długie brody i pociągłe twarze jego prześcigają urodą typy Czarnieckich i Kochanowskich. Tak samo i dzieci i pachołęta dworskie czy uliczne są jakiejś szlachetnej, ogromnej rasy, która z osobników wyjątkowych słowiańszczyzny powstała. Nawet gdy maluje swą własną rodzinę lub osobistości współczesne, daje im polot i siłę, rysuje ich profil z zuchwałą improwizacyą. Tak samo wreszcie obchodzi się ze zwierzętami, a jego konie to rumaki z Apokalipsy, godne dźwigać na swym grzbiecie anioła śmierci lub bóstwo zniszczenia. Nieprawdą

jest, że Matejko celuje najwięcej w wyrazie. Proszę się przyjrzeć *Skardze*, *Rejtanowi* lub *Przysiędze Lubelskiej*, a łacno się okaże, że wiele fizyognomij łączy wielkie podobieństwo; są one silne, wydatne i wybitne, ale nie różnią się dostatecznie. W nich stanowczo przemawia styl, rasa, pieczęć. Nad realizmem portretu góruje u tego artysty deklamacyjność towarzystwa, ekspresya gromady. Słowem na każdym kroku widać twarze głęboko poorane zmarszczkami, silnie uduchowione, niezmiernie poetyczne i dostojne, ale bliźniacze. Jednostka snadź dla Matejki nie była tematem najwyższym, jak jej świat wewnętrzny—liryka—nie była motywem uprzywilejowanym. Był zanadto *avidus molium*, spragniony mas, wielkich brył i żywioł swój właściwy, mogący naprawdę wyzwolić jego energię — znajdował w dramacie i tragedyi, czyli w scenach *zbiorowych*. To jego państwo udzielne.

(D. n.)

POEZYE.

JAKIM SPOSOBEM?

Jakim sposobem w małem swem sercu
Olbrzymi ból świata zaszczepić?
Jakim sposobem drobną swą myślą
O przyszłość narodów zaczepić?

Jakim sposobem stać się ogniwem
W potężnym dziejowym łańcuchu,
I oną falą, co w morzu życia
Dla innych powodem jest ruchu?

Jakim sposobem być drogowskazem
Na błędnych ludzkości manowcach?
Jakim sposobem moc i nadzieję
Rozbudzać w znużonych wędrowcach?

Jakim sposobem jeszcze po śmierci —
Zielenią okrytym grobem
Świadczyć potomkom o życia wiośnie,
Jakim sposobem?!

DO PRZYJACIÓŁ.

Młodych lat przyjaciele!.. pamiętne-ż wam jeszcze
Na rozmowach gorących spędzane wieczory,
O zagadkach natury nieskończone spory,
O przyszłem szczęściu ludów proroczenia wieszcze?

Czy pamiętne wam marzeń ognistych wybuchy
I pioruny, rzucane w maleńkim pokoju
Na wszystko, co miernego bywało pokroju,
Co małością raziło niespętane duchy?

Pamiętacie-ż, jak wielka życia tajemnica
W naszych sercach budziła harmonijne drżenie:
Burzę słów przerywało pochmurne milczenie
I naprzemian nam bladły lub kraśniały lica.

Wszelki brud naokoło znaczyliśmy piętnem,
Marzyliśmy o świata i ludzi poprawie,
O miłości, przyjaźni, o pracy i sławie
Mówiliśmy z uczuciem młodości namiętnem.

Nieraz gwiazdy już gasły na niebieskim szlaku,
Nowy świt już rozjaśniał kędyś niebo wschodnie:
Snu nie było; wraz ruszyć pragnęliśmy zgodnie
Na zdobycie przyszłości w bojowym orszaku.

Pełne uczuć i myśli lenistwo w swe sidła
Chwytało nas, nurzając w marzenia obłędzie;
A ta młodość, genialna w swojej krwi rozpędzie,
Błogosławiąc, nad nami roztaczała skrzydła.

A dziś!.. Czy dobra tryumf już błysnął na świecie,
Rozwikłały-ż się wszystkie ponure zagadki?
Że tak dziwnie nas życia zmieniły wypadki,
Że tak wszystko w niepamięć puściliśmy przecie!

Gdzie wy dziś, przyjaciele?.. Ach, tamten przy żonie
Spokojnym snem filistra całe noce chrapie;
Ten marzy o karyerze; ów w głowę się drapie,
Chcąc zmylić wierzycieli natrętne pogonie.

Innych bieda złamała przemocy swej tamą,
Inni się uwikłali śród rozpusty sideł...
Lecz, młodości, nie zwijaj uroczych swych skrzydeł
I nowe pokolenia odurzaj tak samo.

MŁODZI.

Ach, mój humor
Wciąż dziwaczy:
Drga weselem,
Schnie z rozpaczy;

To fontanna,
To kaskada;
Raz się wznosi,
Raz opada!..

. . . .
. . . .

Wam, nieszczęsne
Wieku dzieci,
Spadająca
Gwiazda świeci.

Waszych myśli
Uczuć łoże —
Na wiatraka
Skrzydłach może.

Gdy się słońce
Zjawia w świecie,
Wstecz od słońca
Wędrujecie.

W świat tajemnic
Niezmierzony
Mkniecie z wichrem
Na przegony.

I dziewczyna
Z twarzą gładką
Dla was — tylko
Jest zagadką,

Albo cackiem
Do popsucia,
Albo duszą
Do zatrucia.

Młodych dotknął
Uwiąd stary:
Nie umieją
Czuć bez miary,

Z ust korali,
Z ócz błękitu,
Wypić szczęście
Bez przesytu;

Jasne czoło
W niebo wznosić,
Przyrodzeniu
Hymny głosić;

W czułej bajce
Się zasłuchać
I w poczciwy
Śmiech wybuchać;

Cudzym ludziom
Rzucić słowo,
Jakoś bratnio,
Jakoś zdrowo.

Nie po świecie
Myśl ich lata,
Lecz za świat — i
Z poza świata.

Z dokładnością
Swą przemądrą
Nie trafiają
W prawdy jądro.

Własne szczęście
Pragną burzyć;
Nie potrafią
Życia użyć.

Miast spokoju
Szukać w sobie,
Chcą go znaleść —
W ciemnym grobie!..

. . . .
. . . .

Liść pożółkły
Spadł z szelestem:
Twoim bratem,
Listku, jestem!

Leo-Belmont.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

INDYWIDUALIZM W DZIENNIKARSTWIE.

Emil Bergerat, jeden z młodych i zdolnych fejletonistów paryskich, rozbierając znaczenie odbytego w końcu z. m. kongresu dziennikarzy w Londynie, z dumą i zadowoleniem podkreśla uspołeczniający wpływ, jaki wywarł olbrzymi rozwój współczesnego dziennikarstwa na marzycieli i poetów. Według niego, rozwiązało ono natrętną zagadkę pogodzenia wysokiego rozwoju indywidualnego z działalnością na korzyść szerokich i jednolicie szarych mas; pozwoliło „arystokratom ducha“ na wmieszanie się w tłum, a nawet zmusiło ich do tego; przez codzienne promieniowanie od nich najwyższych pierwiastków związało całą społeczność z nimi, a przez możność niezależnego i nieupokarzającego zarobkowania ich z całą społecznością. Gdy w starożytności społeczność w czasach upadku lub spokojnego zastoju do tego stopnia nie wiedziała, co począć z poetą, że Plato, dla zapewnienia jej spokojnej i niezmąconej wegetacyi, wykluczał poetę z wzorowej rzeczpospolitej; gdy później wciągnięcie go do ogólnego biegu życia odbywało się jedynie za pośrednictwem mecenasów lub Ludwików XIV, nakładających w zamian pęta na skrzydła pegazów, dziś arkusze zadrukowanego papieru, zalewające codzień chaty i pałace, pozwalają najdumniejszym nawet i najwięcej zapatrzonym w nieznaną dal wtajemniczać gromadę profanów w treść swych rojeń lub smagać ich ostrym biczem sprzeczności. Zamiast służyć jednostkom lub umierać z głodu, prorocy nawet w swej ojczyznie teraz jedzą, ubierają się i mieszkają, jak przeciętni śmiertelnicy, a zarazem przemawiają do całego ludu.

W Europie zachodniej ten wyraz: *całego* nie jest przesadą. Dziennik stał się tam rzeczywiście chlebem powszednim całej ludności; każdy obywatel, przetarłszy oczy fizycznie, czuje potrzebę poinformowania się, jak daleko zaszedł bieg otaczającego go życia od poprzedniego ranka lub wieczora, i można powiedzieć, że przeczytanie pisma codziennego jest przetarciem jego oczu duchowych. Niezmierna taniość, rozpowszechniona bardzo sprzedaż na pojedyncze numery, szybkie i wygodne środki dostawy czynią dziennik dostępnym dla robotnika a nawet chłopa; we Francyi też np. nikogo nie dziwi, gdy pastuch wiejski, pędząc stado, kupuje od przechodzącego

drogą roznosiciela numer *Petit Journala*, lub gdy korsykański góral, pilnując kóz, studyuje jakiś miejscowy organ, który dostał się nawet do niedostępnej jego siedziby. Nie jest również przesadą twierdzenie, że w bardzo wielu poczciwych protestanckich rodzinach z małomieszczańskiej lub chłopskiej sfery czytanie dziennika zastąpiło dawniej odczytywany rozdział ze św. Łukasza lub Jana.

Zachodzi pytanie, czy w samej rzeczy owo uspołecznienie poety-indywidualisty (rozumiem pod tym wyrazem nadanie jego działalności charakteru organicznie-społecznego) odbyło się zupełnie bez naruszenia jego niezależności osobistej? Czy Tyrteusz i Arystarch, wdziewając na się jednostajny, mundurowy frak nowożytnego dziennikarza, nic nie spuścili ze swego dawnego wyniosłego lub zjadliwego tonu? Czy raczej może nowożytny wszechwładca, demos w swej większości, wcielający się w stosunku do każdej jednostki w zbiorową osobę pewnej klasy, postawił swym wieszczom, w sposób wprawdzie mniej widzialny, takie same warunki służby i chleba, jak dawni mecenasowie?

Znając moc przystosowującą współczesnych warunków klasowo-ekonomicznych, której żadna dziedzina życia oprzeć się nie może, jesteśmy *a priori* skłonni do rozstrzygnięcia tej kwestyi na korzyść drugiej alternatywy. Kongres londyński stwierdził to przypuszczenie przez usta Emila Zoli i jakkolwiek zaznaczone tam zjawisko zupełnej bezimienności w dziennikarstwie angielskiem, a podpisywania wszystkich artykułów, aż do wiadomości bieżących, we francuskiem, zdawałoby się dowodzić zupełnego poddaństwa dziennikarza w Anglii, a wielkiej jego niezależności we Francyi, to przecież z łatwością przyjdzie nam wykazać; że jak tu, tak tam, jest on sługą swej sfery. Zastanowimy się nad nowymi prądami, które się z tych stosunków żywiołowo wyłaniają, i nad ich przyszłością. W Anglii osobistość autora artykułu dziennikarskiego jest zupełnie nieznana; za każde zdanie, wyrażone na szpaltach pisma, odpowiada wyłącznie przed prawem i przed opinią redakcya, a właściwie firma wydawnictwa. Każdy dziennik jest tam określoną osobistością, która posiada zupełną ciągłość w czasie i pomimo wewnętrznych, niewidzialnych z zewnątrz zmian, reprezentuje zawsze jeden i ten sam program. Wkoło niego grupuje się jednolita i stała warstwa ludności, która uważa go za przedstawiciela swych interesów i wymaga odeń wypowiadania w każdej kwestyi zdań, które kiełkują w piersi czytelnika. Dziennik, wiedząc wybornie, że byt jego zależy od życzliwości tych czytelników, nie dopuszcza się nigdy najmniejszej herezyi i jest tylko maszyną do najskuteczniejszego i najprędszego produkowania szat słownych dla myśli popierającej go warstwy. Jak w całej produkcyi mechanicznej, osobistość pojedynczego producenta jest tu najdoskonalej ukryta w dziele zbiorowem i po poddaniu swej pracy często na współkę z innym pisanej, wszystkim poprawkom redaktorów sekcyjnych i głównego, autor nie może faktycznie wydzielić z niej owocu swego trudu, zarówno jak w mechanicznie wyrobionej igle robotnik pojedynczy nie odnajdzie swej części. Tracąc na indywidualizmie, zyskuje dziennik na powadze, gdyż czytelnik, nie widząc po za wygłaszanem zdaniem żadnego oddzielnego umysłu, uznaje w niem opinię całej warstwy, do której należy; jej to sposób czucia i myślenia znajduje się codzień skrystalizowany bezpośrednio na olbrzymich szpałtach *Timesów* i *Daily Telegraphów*.

Ta bezimienność autora, to przemawianie w imię całej opinii, a raczej w imię opinii całej warstwy narodu, nie ogranicza się do artykułów politycznych, w których jest jeszcze dość zrozumiała, gdyż dziennik reprezentuje tu całą jednolitą partyę, ani nie kończy się przy artykułach o kwestyach społecznych, dla których cała warstwa może posiadać jednolity program. Bezimienne są również — i to już francuzowi wydaje się zupełnie dzikiem — wszystkie artykuły naukowe, recenzye i krytyki teatralne, artystyczne, belletrystyczne; wyjątek stanowią pod tym względem poważne i specyalne miesięczniki, w których niepodobna zamaskować oryginalności myśli lub własności wynalazku. Gdy jednak tutaj moraliści i uczeni rozprawiają w swojem niemal gronie, masa pewnej klasy zabiera głos zbiorowy i tem apodyktyczniejszy we wszystkich sprawach, mających związek z jej potrzebami i interesami. Rozumuje ona, a raczej odczuwa, i słusznie, że myśl artystyczna lub poetyczna, choć mniej bezpośrednio, jednak niezaprzeczenie wypływa z pewnego określonego całokształtu warunków bytowych, niż myśl polityczna lub ściśle społeczna; że uznanie pewnego wyniku w dziedzinie artystycznej doprowadzić musi do uznania innego podkładu bytowego. Byron nie był pod tym względem mniej groźny od Johna Burnsa, ani nawet Heine od Marxa. Że zaś ogółowi chodzi o zachowanie podścieliska, na którem się wylęguje, więc wciąga on do swej jurysdykcyi kontrolę nad wszelkiemi myślami swych członków i w każdej dziedzinie posiada swe przeciętne, a więc bezimienne zdanie.

Czy tedy we Francyi klasy społeczne nie pragną przystosowania do swych potrzeb sposobu myślenia swych mężów stanu i uczonych, że panuje tam zwyczaj krańcowo przeciwny wysuwania przy każdym najmniejszym artykuliku osobistości autora? Wogóle biorąc, za tą hypotezą oświadczyć się nie można; nie można twierdzić, aby przyczyną tej niezależności dziennikarza było uniezależnienie się wszystkich sfer życia społecznego od podścieliska klasowego. W gruncie rzeczy niezależność ta jest pozorna, a złudzenie to pochodzi ze zjawiska, będącego kluczem do zrozumienia wielu uderzających stron życia francuskiego, mianowicie: ogromnego, gdzieindziej niespotykanego zróżniczkowania klas, a w szczególności odłamów klasy mieszczańskiej.

Nieraz autorowie przeglądów politycznych u nas ze zdumieniem lub oburzeniem mówią o nadmiernem rozdrobnieniu partyj we Francyi, o istnieniu wielkiej liczby grup, wskazując jej za przykład rozsądną Anglię z jej tradycyjnym podziałem na torysów i whigów. Nie dostrzegają oni jednej ważnej rzeczy, mianowicie, że w Anglii walka między drobnem i wielkiem mieszczaństwem oddawna jest ukończona, podczas gdy we Francyi wre w najlepsze. Wskutek tego, gdy na wyspie klasy są kategoryami o ścisłych granicach, z tej strony kanału zlewają się one niemal jedne z drugiemi, ale równocześnie naród przedstawia drabinę sytuacyj ekonomicznych o ogromnej ilości mało odległych od siebie szczebli. Gdy tam jedna sfera bytowa i myślowa obejmuje poważną ilościowo część społeczeństwa, to niedość, że jest ona bardzo drobną cząsteczką, ale jeszcze znajduje się w bezustannym ruchu po równi pochyłej, który jej co chwila inne miejsce naznacza; ale jeszcze jednostki, wibrując bezustanku pod wpływem kapitalistycznych przyciągań i odpychań, co chwila w innej znajdują się sferze. Bez względu na swą ruchomość, każda z tych sfer wyłania z siebie swą własną atmosferę poglądów politycznych, społecznych, naukowych i artystycznych, a wyrazicielką ich staje się właściwa tej sferze prasa. Ale z ruchomości tej wynika, że gdy dziennik co parę miesięcy może zmieniać właścicieli i redaktorów, a więc i program, to słabem widomem wcieleniem programów mogą być tylko nazwiska wybitnych działaczy; że w końcu partye utożsamiają się z jednostkami, a jednostki, czując to, sięgają po — togi dyktatorskie. Osiągnięcie jednak tych ambitnych marzeń jest zwykle złudą; i nie Clemenceau kieruje clemencistami, lecz nim clemenciści, nie Millerand millerandzistami, nie Guesde guesdystami, lecz odwrotnie. Nawet w dziedzinie artystycznej taki Sarcey z niemniejszą wiernością wyraża gusty przeciętne swej klasy, niż każda bezimienna recenzya angielska. Wprawdzie naród francuski składa się nietylko z mieszczaństwa i proletaryatu, który jest tam jeszcze bardzo drobnomieszczańskim; ale przeniknięciu tych stosunków do prasy innych klas sprzyjała zarówno potrzeba używania tej samej, co przeciwnik, broni, jak szybkie w bieżącem stuleciu rozpadanie się partyj z prawicy, a może po części brawura i lubowanie się w osobistej odpowiedzialności, przypisywane narodowemu charakterowi francuzów.

Parę tygodni temu zaznaczyliśmy („Era ładu“ — nr. 37), że obecnie można uważać za miniony czas nieskończonego różniczkowania się politycznego mieszczaństwa we Francyi, gdyż tworzy się nad Sekwaną jednolita i duża partya środka, jego interesy reprezentująca. Wobec tego spodziewać by się może można, że znowu częstszym się stanie zwyczaj niepodpisywania artykułów, przynajmniej politycznych, tem bardziej, że organami zjednoczonego stronnictwa stają się poważne pisma, które, jak *Debaty*, *Temps*, po części *Figaro*, trzymały się zawsze bezimienności w tej dziedzinie, jako tradycyi pierwszych walk mieszczaństwa, gdy występowało ono jeszcze jako jednolita całość. Ale regres ten, gdyby nawet nie był przemijającym, nie potrafił już pociągnąć za sobą innych dziedzin dziennikarstwa, ani powstrzymać innego głębszego prądu, którego zaznaczeniem zakończyć chcemy niniejsze uwagi. Oto, przedewszystkiem, i w Anglii powszechnem jest mniemanie, że olbrzymie stronnictwo whigów trzyma się razem tylko przez powagę Gladstona, a gdy jego nie stanie, odłamy pójdą śladem robotniczego (Burns, Cunningham, Graham itd.) i ugrupują się niezależnie wkoło Labouchère'a, Morleya itd.; i tam tedy indywidualizm w dziennikarstwie, kiełkujący obecnie przez zjawiające się podpisywanie krytyk i artykułów naukowych, szerzej się rozwinie. Dalej, we Francyi owa niespokojna ruchomość sfer bytowych, o której mówiliśmy, sprawiła, że podkład ekonomiczny każdej nie zdążał przystosowywać do siebie poglądów społecznych, naukowych, artystycznych, a czasem nawet politycznych. To też zdobyły one sobie pewną faktyczną niezależność; i jakkolwiek prawdziwem jest wyżej wyrażone twierdzenie, że w pewnych granicach zgadzać się one muszą zawsze z warunkami klasowymi, to jednak przepowiedzieć można, że granice te nadal rozszerzać się będą i uniezależnią zupełnie w końcu dziennikarza-myśliciela od powijaków przeciętności. Edward Drumont, któremu żyłka bojowo-polemiczna pozwala odczuwać tętna chwili bieżącej, pomimo zamiłowania do przeszłości, pierwszy, o ile mi się zdaje, oświadczył, że dziennik powinien przestać być zbiorową osobistością, a odpowiedzialnym za każde zdanie musi być podpisany pod niem autor, choćby się ono bardzo z poglądem redakcyi, a więc i odnośnej sfery, nie zgadzało. I w przyszłości, gdy zapanuje powszechna jednolitość warunków ekonomicznych i nieobecność klas, w epoce świadomego rozwoju ludzkości, dziennik przedstawić sobie można jako peryodyczny zbiór myśli, któremi jedni ludzie zechcą się podzielić z drugimi — myśli, należących do bardzo różnych indywidualności, a nie do szarego stada, składającego rdzeń każdej współczesnej klasy. Platonowska zagadka dopiero wtedy rozwiązana zostanie z korzyścią zobopólną.

Kazimierz Krauz.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XIX.

18 sierpnia, Chicago, city.

Przede mną leży przynajmniej dwustopowej grubości stos gazet amerykańskich — z najrozmaitszych okolic. Zbieram je od pewnego czasu w kącie, oczekując tej chwili, kiedy nagromadzi się sporo tego rodzaju dokumentów zamorskiej psychologii dziennikarskiej. Dzisiaj nadeszła chwila krótkiego obrachunku z tą dziedziną życia społecznego.

Kurz, grubą warstwą spoczywający na tej plice zadrukowanej bibuły, bynajmniej nie podniósł jej wdzięków, ale za to wraz z zębem czasu pomógł do wykrycia jej znikomości. Wydawcy z góry wiedzą, że płachty dziennikarskie pójdą do śmieci, i zgon taki swojego towaru uważają za najzasłażeńszy, a skwitowawszy z wieczności, biorą najlichsze gatunki papieru, które już dzisiaj, po kilkutygodniowym odpoczynku w kącie, rozłażą się pod palcami. Wogóle, nadaremnie poszukiwalibyśmy w gazecie amerykańskiej jakiejś dbałości o przyjemną powierzchowność produkowanej papki umysłowej! Oko, przyzwyczajone do wzorów europejskich, z trudnością godzi się z takiem niechlujstwem. Artykuł zaczyna się większym drukiem, ale w środku bez najmniejszej potrzeby zjawiają się drobne czcionki, które znowu tak samo giną jak wtargnęły — niespodzianie. Przedziałki pomiędzy wierszami wyprawiają różne łamańce, odskakują od siebie, zbliżają się. Zamorski robigrosz dziennikarski wziął rozbrat z estetyką, wydatki te bowiem są nieprodukcyjne. A tak samo dzieje się i w innych gałęziach przemysłu. Największe fabryki są zbiorem lepianek, gdzie schody i pomosty ledwie trzymają się pod ciężarem, milionowe kantory gnieżdżą się nieraz w zwykłej budzie — podobna zasada panuje też i nad dziennikarskim geszeftem. Pośpiech, łaknący zaraz ponieść wiadomość o wypadku, wygląda z każdego wiersza. On to sprawił, że garmont z petitem plączą się bez harmonii, że przedziały są rozmaitej miary, że artykuł na jakimś wyrazie przerywa się i dopiero o kilka stronic dalej wątek jego znowu wypływa.

Rozmiary przeraźliwe! Kilka ogromnych płacht papieru w codziennym potoku życia, kilkanaście w niedzielę, oto dziennik amerykański w większych ogniskach. *Herald*, jeden z poczytniejszych organów w Chicago, gdyby drukowano go w postaci książki, w powszedniej edycyi ukazywałby się jako broszura ośmioarkuszowa, w świątecznej zaś posiadałby do dwudziestu arkuszy. Nawet w drugorzędnych ogniskach gazeta miewa taką samą tuszę. Kładą nacisk na tę stronę dziennika, bo wywiera ona mojem zdaniem bardzo ujemny wpływ na umysłowość kraju. Może nigdzie nie występuje tak jaskrawo ta prawda, że prasa codzienna jest wrogiem głębszej inteligencyi, że, niby trucizna, znieczula szersze potrzeby umysłowe. Niejednemu z czytelników, który bierze za dobrą monetę hymny o cywilizacyjnej roli dzienników, sąd taki wyda się co najmniej dzikim, ale, niestety, jest on najzupełniej słusznym.

Bo i czem zaiste jest dziennik amerykański? Przerzuciłem systematycznie kilkaset numerów najrozmaitszych organów i wszędzie widziałem ten sam brak wszelkiej podniety umysłowej. Gazeta rozpoczyna się zwykle szczególnym artykułem wstępnym o najważniejszym skandalu bieżącej chwili, przyprawionym w sposób, możliwie łechcący nerwy, a ozdobionym mnóstwem rysunków — wogóle, dzienniki amerykańskie są ilustrowane, a reporter prócz innych umiejętności musi być rysownikiem. Dzisiaj owym naczelnym skandalem będzie wiadomość o rozwodzie, a nagłówek grubemi czcionkami rozmaitego formatu podaje główne stadya wypadku, jutro o napadzie rozbójników na kolei lub jakiejś kradzieży. Bieżąca plotka wypełnia wraz z ogłoszeniami kilka lub kilkanaście arkuszy książki! Niekiedy urozmaica ją jakaś sprawa wewnętrznej polityki — cel, waluty srebrnej, lecz niemal niknie wśród powodzi rozwodów, pożarów, wyścigów, a nadto nosi na sobie cechy plotkarskie. Nawet powieści niema, nie zgadza się to z „bieżącością"; fejleton też ulotnił się, bo reporter jest panem w dzienniku. Idea zatonęła w plotkarstwie, potrzeby umysłowe są zaspokajane przez opowieści o skandalach i wypadkach codziennych, reporter połknął publicystę...

A teraz spojrzyjmy na wpływ, jaki wywiera taka kilku i kilkunastoarkuszowa książka, drukowana drobnym i gęstym drukiem, na umysły. Trzeba godziny czasu i więcej na spożycie tej strawy. Obywatel, kiedy pożre taką porcyę, daje za wygraną innym — dość mu drukowanego słowa! A strawę taką i z takim skutkiem amerykanin zjada codzień przez całe życie. Zwolna przyzwyczaja się do niej, co więcej prócz niej żadna inna mu nie smakuje, zwłaszcza że wydawca posiada na swoim żołdzie mnóstwo kuchcików, których obowiązkiem jest przyprawić ją tak, aby przypadła do gustu. Rzecz dziwna, nigdzie nie spotykamy takiego pożądania gazety, a jednocześnie w żadnym kraju takiej obojętności dla książki! Księgarni w Chicago trzeba poszukiwać z latarką w ręku, tak są rzadkie; bezwarunkowo, idąc wdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, więcej zoczymy wystaw z książkami, aniżeli w całym grodzie wystawy. Są amerykanie, codziennie czytający gazety, którzy przecież w życiu nie kupili ani jednej książki! W domu amerykańskim sprzęt taki, jak książka, należy do rzadkości, mówię, rozumie się, o szerokich masach ludności, nie zaś o inteligencyi, chociaż i wśród niej książka nie jest częstym gościem. Dopytywałem się swojej gospodyni, codziennie siedzącej przez godzinę nad gazetą, czy posiada jakieś książki w domu. Prócz podręczników szkolnych nigdy nie kupowała takiego towaru, ani nie słyszała, żeby jej znajomi to czynili! Drukowana plotka, upostaciowana w dzienniku, jest plagą niszczącą w zarodku głębsze potrzeby umysłowe. Ta bibuła, tak licha pod względem swego gatunku, jest podobnie marną, co do wywieranego wpływu. Ale kiedy materyał po kilku miesiącach gnije i rozlatuje się, trucizna, rzucana kropla po kropli do umysłu, pozostaje, podcina w zaczątku i tłumi poważniejsze porywy.

20 sierpnia, Chicago, wystawa.

Szkolnictwem amerykańskiem jestem coraz bardziej zachwycony. Wyszedłem przed chwilą z budynku stanu waszyngtońskiego, jednego z tych, które wszelkiemi siłami wabią do siebie osadników, obciążony mnóstwem wzorów tamtejszego wykładu. Schrotan szkolny, ujrzawszy kogoś, kręcącego się pomiędzy stosami kajetów i ćwiczeń, tak rozczulił się tą ciekawością, że obdarzył mnie próbkami ćwiczeń i zbiorów, a nadto przetrzymał parę godzin, gotów zaś byłby nie wypuszczać mnie ze swoich szponów i dłużej, gdyby nie nadszedł czas zamknięcia gmachu.

Poglądowość przemawia z każdego kajetu, rozłożonego na pulpicie, z każdego ćwiczenia, rozwieszonego na ścianie. A z poglądowością zespoliła się nierozerwalnie chęć obładowania pupilów jak największą masą przetrawionych wiadomości, rozszerzających jego widnokręgi umysłowo i wyrabiających go na dzielnego obywatela kraju. Z historyą powszechną, algebrą, językami starożytnymi malec lub dziewczyna zapoznaje się dopiero wtedy, kiedy dostaną się do wyższej szkoły, a zatem w wieku lat czternastu i więcej. Ale za to podczas pobytu w niższej dowiaduje się o swoim kraju, jego przyrodzie i dziejach, o życiu ludzkiem, jego działalności fizyologicznej i anatomii; poznaje zasady hygieny i konstytucyi; uczy się spoglądać na naturę rozumniejszemi oczami. Rysunek bezustannie ćwiczy jego rękę i uzdolnia do oddania na papierze wszystkiego, co go zainteresowało. Zoologia, botanika, fizyologia, a nawet historya i wypracowania stylistyczne, przecież to tylko lekcye wyspecyalizowanego rysunku! Weźmy botanikę. Wykład systematyki polega na tem, że uczeń w ciągu szkolnego roku winien zebrać pewną liczbę okazów roślinnych, charakteryzujących oddzielne rodziny. Własnemi słowami opisuje cechy kwiatu, pręcików, łodygi, a jednocześnie rysuje ów kwiat, jego składowe części, kształty liści, obok zaś przyczepia samą roślinę, umiejętnie zasuszoną. Nadto podaje szczegóły, w jakich warunkach ją znalazł, a opis taki niekiedy aż za serce chwyta swoją swobodą. „Kwiat ten dostałem od Lory, której w podarunku dał go jej ukochany przyjaciel, ten kwiat, kiedy żywy, musi być dla tego bardzo pięknym!" opowiada w biografii rośliny jakaś uczenica, zdradzając może wielką tajemnicę swojej trzynastoletniej koleżanki. Zoologia jest nauką rysunku o głównych typach jestestw żyjących. Każdy typ oddany na papierze naprzód w pojedynczych częściach, później w szematycznem przecięciu. A zatem np. u raków widzimy, jak uczeń rysuje jego członki — nogi, ogniwa „szyjki", tułów, później szematy organów trawienia, nerwów z mięśniami. Mineralogia polega na opisie zkąd pochodzą, w jakim stanie znajdują się w przyrodzie. A szematy fizyologiczne? Nie wiem czy wielu z medyków zdołałoby tak trafnie oddać na rysunku różne czynności i organy ludzkie, jak to czyni niejeden czternastoletni bęben w szkołach waszyngtońskich. Szematy najrozmaitszej natury: jedne dają obieg krwi, inne — ustrój nerwowy ruchu z zależnemi od nich mięśniami i ich przyczepami. Są nawet takie, które kreślą uderzenia pulsu w stanie normalnym, oraz zawikłania pod wpływem alkoholu, nikotyny. Niekiedy do rysunku dołączone bywa modelowanie z gliny. Widziałem płaskorzeźby z gliny, przedstawiające powierzchnię stanu waszyngtońskiego, wyrobione przez 14-letnich uczniów. Zwłaszcza uderzył mnie taki model z gliny 30-tysięcznego miasta Seattle, wykończony przez dziatwę 5-go i 6-go szczebla, a zatem w wieku lat 14 do 16. Ileż pracy musiało pójść na to odtworzenie każdego gmachu, mostu, na to utrzymanie stałej skali!

Co tylko da się, zostaje w wykładzie zamienionem na rysunek. Geografia, nauki przyrodnicze są ćwiczeniami rysunkowemi. Natomiast lekcye właściwego rysunku przekształcają się na umiejętność oddania ołówkiem wdzięków przyrody. Nasze wycinania, wyszywania, rysunki ze szkół froeblowskich są za morzem celowo prowadzonymi wykładami tego kunsztu, ogarniającego coraz szersze kręgi w miarę tego, im wyżej podnosimy się po szczeblach drabiny szkolnej.

L. K.

KONKURS GAZETY RADOMSKIEJ.

Do jakich środków zwrócić się należy, ażeby usunąć lub ograniczyć nieszczęśliwe wypadki z dziećmi na wsiach i osadach i w jaki sposób zorgani-

zować nad niemi opiekę?“ Na ten temat, bardzo żywotny dla mieszkańców wsi, *Gazeta radomska* ogłosiła konkurs, z nagrodą, wedle swych skromnych środków, 100 rubli za najlepsze rozwiązanie sprawy. Po długiem wyczekiwaniu redakcya otrzymała garstkę artykułów, z których obecnie parę ogłosiła. „Dwór, ksiądz i szkoła! oto trzy czynniki, których działalność błogie skutki wywrzeć może; — twierdzi jeden z autorów ukrytych. „Niech panie i panienki dworu uważają sobie za święty a nieuciążliwy obowiązek opiekę nad dziećmi i kobietami swych sąsiadów... Niech mają dla ich użytku apteczki, niech znają chemię, hygienę i praktyczną medycynę, niech pomocy swej i wiedzy chętnie udzielają, a żadna matka-wieśniaczka nie pójdzie do baby-znachorki po zażegnywanie choroby.“ Dalej autor radzi wyznaczyć izbę we dworze, lub oddzielną chatę we wsi, gdzieby matki idąc na robotę, mogły dzieci zostawiać pod opieką i nadzorem „pani ze dworu.“ Ktoś inny proponuje zakładanie ochron kosztem towarzystw lub osób prywatnych. Wynajęcie zwyczajnej na to izby nie kosztowałoby drożej nad 20 rubli rocznie; gorzej z ochroniarką, bo tej zapłacić trzeba co najmniej 100—120 rs. rocznie. Skąd wziąć na to środków? Rozumie się, należy kołatać do „ofiarności publicznej.“ Ale ponieważ Królestwo Polskie jest bardzo gęsto zaludnione, więc trzeba byłoby ogromnych sum na utworzenie ochronek we wszystkich wsiach. Zdaniem autora, uskutecznienie takiej opieki trzeba oprzeć nie na filantropii lecz na zasadzie samopomocy. Prawie w każdej wsi są stare biedne komornice, które mogłyby się zająć opieką nad zostawionym w domu drobiazgiem. Ochroniarce cała wieś powinna dawać utrzymanie. „Najpraktyczniej byłoby, ażeby ten gospodarz, w którego izbie w danym dniu znajdują się dzieci, dawał pożywienie owej kobiecie dozorującej, a ten, którywby trzymał ją u siebie na mieszkaniu, powinien pobierać od gminy wynagrodzenie. Byłyby więc to ochronki ruchome, istotnie najłatwiejsze do urzeczywistnienia. Ale w jaki sposób pobudzić lud do zorganizowania tej opieki? Powinny gorąco ku temu zachęcać pisma ludowe. Nadto, skutecznym bodźcem byłoby — jak utrzymuje uczestnik konkursu — udzielanie włościanom za dobrą opiekę nagród w postaci zegara ściennego, nasion itd. O wiele płodniejsza byłaby działalność utworzonego w tym celu Towarzystwa opieki nad dziećmi po wsiach.“ Takie są dotąd projekty rozwiązania powyższej sprawy. Jak ona jest ważną i pilną, świadczą wymownie cyfry, podane w tych dniach przez organ urzędowy gub. warszawskiej. Tylko w tej jednej gubernii w ciągu pięciu miesięcy (od 13 kwietnia do 13 września) zginęło z powodu wypadków 54 dzieci wiejskich, w wieku od 1 roku do 10 lat życia. Najwięcej (33) utonęło w kałużach, sadzawkach, studniach strumieniach itd.; z tej liczby 22 nie miało jeszcze pięciu lat. Drugie miejsce zajmują wypadki poparzeń (14) zakończone śmiercią. Siedmioro dzieci zginęło wskutek przejechań, dwoje przez spadnięcie z wysokości, jedno wpadło do dołu i było zasypane ziemią, jedno wreszcie zwaliło na siebie belkę. Znane są również wypadki zjadania dzieci przez świnie, szarpania przez psy wściekłe. Po zatem bodaj największa liczba pożarów po wsiach wynika z niedozoru nad dziatwą. Nie jest przesadne przypuszczenie *Warsz, gub. wied.*, że w całem Królestwie ginie około 1000 dzieci, pozostawionych bez opieki podczas robót polnych. Konkurs jednocześnie się zbiega z projektem owego organu urzędowego — obowiązkowej organizacyi ochron dziennych po wsiach. Wobec charakterystycznej odporności włościan względem wszelkich urządzeń na ich korzyść, lecz pociągających powien koszt za sobą, nacisk prawny byłby tu środkiem najskuteczniejszym. Niezależnie od tego zasługują na baczną uwagę projekty *Gazety radomskiej*, których myślą przewodnią jest wdrożenie śród ludzi poczucia obowiązku opiekonania się własną dziatwą a zarazem i własnem bezpieczeństwem. Przy tem w razie nawet wprowadzenia opieki obowiązkowej, powyższe wskazówki będą miały wielką wartość, jako zalecające sposoby praktyczne. Im mniej będzie kosztów, im prostsza forma organizacyi, tem więcej szans jej powodzenia. Wypadki z dziećmi zabierają niemal tyle ofiar, co niejedna epidemia, a mają tę jeszcze przewagę nad chorobami, że częstokroć rujnują całe mienie rodziców i ich sąsiadów. Wszystko zatem, co zmusza do ukrócenia klęski, chociażby miało charakter tymczasowy, zasługuje na uznanie i poparcie.

Zn. Pt.

LIBERUM VETO.

Śmierć Matejki. — Rozrost pojedynczych władz ducha kosztem innych. — Geniusz jako pewnego rodzaju potwór. — Uczuciowość i religijność Matejki. — Podstawy pesymizmu i optymizmu. — Wiara jako podnieta życiowa. — Potrzeba ostrożności.

Śmierć Matejki jest wypadkiem historycznego znaczenia. Gdy takie olbrzymy padają, cały las ludzki brzmi mocnem i długiem echem. Kto inny opowie wam o potędze i działalności malarskiej wielkiego nieboszczyka; my tu zastanowimy się nad jego szczególnym umysłem, godnym uwagi jako nader pouczające upostaciowanie zagadek natury. Matejko przemawiał do współczesnych nietylko pędzlem, lecz i ustami. Zwłaszcza jako dyrektor szkoły występował od czasu do czasu z mowami, które często sprawiały niesmak ludziom rozumnym, a w każdym razie przedstawiały dziwną nierównomierność z jego geniuszem artystycznym. Pomimo tysiącznych dowodów przeciwnych, my ciągle sądzimy, że człowiek wielki powinien być wielkim we wszystkich cząstkach swej istoty. Tymczasem zwykle dzieje się przeciwnie. Nadmierny rozwój jakiejś władzy ducha odbywa się kosztem innych i dlatego geniusz jest do pewnego stopnia potworem. Jeżeli wyobrazimy sobie człowieka, któryby np. posiadał pięciołokciowe ręce lub nogi, albo oczy ogromne jak tarcze, albo serce wypełniające całą pierś, albo głowę objętości balonu, inne zaś członki i organa w zaniku, mielibyśmy symbol geniusza. Ściśli badacze są kalekami uczucia, poeci są kalekami wiedzy. Kiedy ojczyzna ginęła, Dyogenes drwił z biegnących na jej obronę, Archimedes zaś kreślił spokojnie swoje figury geometryczne. Bywają całe pokolenia dramaturgów lub powieściopisarzów bardzo utalentowanych (jak np. obecni francuscy), którzy pod względem ukształcenia naukowego są głupsi od uczniów pierwszej klasy. Zdarzają się geniusze wielostronni — jak Leonardo da Vinci, Goethe, poniekąd Schiller i Schopenhauer, są to jednak wyjątki nader rzadkie. Zwykle zaś bywają — w porównaniu z człowiekiem normalnym, zresztą najmniej wartym—potworami z niezmiernym przerostem jednej władzy i zanikiem innych.

Czytelnik pojmuje, że zaliczając do tej kategoryi Matejkę, dla którego żywię cześć głęboką, nie myślę mu ubliżać, lecz pragnę go scharakteryzować, a po części usprawiedliwić. Jego bowiem mowy, listy, odezwania się były nieraz przedmiotem nagan i utyskiwań. Rzeczywiście my musimy odcedzać z opinii publicznej niezdrowe męty, zwłaszcza gdy je w nią wpuszczają ludzie znakomici. Ale zszedłszy ze stanowiska obywatelskiego i zająwszy psychologiczne, musimy potężne duchy przyjąć takimi, jakimi je natura zrodziła i bez poprawek w jej tworach starać się je zrozumieć i objaśnić. Matejko był artystą i tylko artystą — ani filozofem, ani socyologiem, ani wogóle głębokim myślicielem. Ktoby więc chciał go ocenić temi miarami, popełniłby taką samą niesprawiedliwość i niedorzeczność, jak gdyby wymierzał siłę pociągową lwa. Całe to kruche, wątłe, nikłe naczynie wypełnione było uczuciem, mocno zabarwionem religijnie. Na wielu jego obrazach znajdujemy dodatki, które świadczyłyby o pospolitej bigoteryi, gdyby jednocześnie nie dowodziły, że główną arteryą uczuciową jego geniuszu była religia. Bez niej nie zdołałby on żyć. Ktoś w *Gazecie polskiej* opowiada, że będąc z Matejką w Paryżu podczas wystawy, obudził go rano i zdziwił się, że mistrz nie odpowiedział mu na pytanie, chociaż nie spał. Dopiero gdy wstał, ukląkł przy łóżku, pomodlił się z kwadrans szczerze i gorąco, rzekł: „Przepraszam cię, żem ci nie odpowiedział, ale przyrzekłem sobie już od lat wielu, że pierwsze moje słowo będzie zawsze do Boga.“ To już nie zewnętrzna, w formalizmie roztopiona dewocya, ale wewnętrzna potrzeba, której nikt nie zdoła zmienić i którą każdy musi uszanować. Jest to także właściwością ludzi genialnych, że oni skrystalizowawszy się, nie ulegają już później żadnym wpływom. Człowiek zwyczajny jest to kawał ciasta, rzuconego w niezliczone ręce świata, które go gniotą i urabiają w coraz innych postaciach; człowiek genialny jest to kawał brylantu, który te ręce mogą oszlifować lub zniszczyć, ale nigdy przekształcić. Tę prawdę stwierdził aż do ostateczności Matejko. Od pierwszego aż do ostatniego obrazu, od pierwszego aż do ostatniego wystąpienia publicznego pozostał ciągle jeden, niewzruszony w swej naturze i właściwościach, w zaletach i wadach, w potędze i słabości, w tem wszystkiem, co się da wyrazić tylko słowem: *Matejko*. I jego, jak innych, obok podziwu i uwielbienia, usiłowaliśmy w pewnych szczegółach przerobić, poprawić. Dopóki taki przerabiany i poprawiany przez nas olbrzym żyje, te nasze usiłowania wydają nam się słusznem i uzasadnionem prawem krytyki, a nawet obowiązkiem. Ale gdy on położy się w grobie, gdy go ogarniemy w całości i rozważymy jego istotę, owe próby przemodelowania go przerażają nas swą... naiwnością. Wtedy bowiem dopiero rozumiemy, że został stworzony z jednolitej masy, której pierwiastki połączone były z sobą stosunkiem niezłomnej konieczności i zależności, że on takim tylko być mógł, jakim był. O Matejce da się to powiedzieć w wyższym jeszcze stopniu, niż o kimkolwiek, gdyż przeszedł on przez świat zupełnie samotny i był chyba jedynym mistrzem, który nie stworzył szkoły, nie wykształcił podobnych do siebie uczniów i nie wywołał naśladowców.

Nad tym grobem odezwały się smutne rozmyślania o przyszłości malarstwa, które wymagają pewnych zastrzeżeń. Wszelki pesymizm jest najzupełniej usprawiedliwiony, odkąd ziemia przestała być rajem. Niepotrzeba wcale umysłu Hegezyasza lub Leopardiego, ażeby z niej zgarnąć tyle bólów i złego, że ten materyał wystarczyłby dla tysiąca piekieł. Ale ów pesymizm nieograniczony do pewnych miejsc, czasów, stosunków i jednostek, lecz obciągający kirem rozpaczy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, co najmniej przecenia siłę swego rozumu, bo każe przypuszczać, że wszystko poznał i wszystko przewidział. Tymczasem nie potrzebujemy wcale kłopotać się o dowody dla wykazania, że jest to grube złudzenie. Jeżeli przy chorym dwu lekarzy stawia dwie przeciwne prognozy i jeden przepowiada mu

szybki zgon a drugi nie traci nadziei — który z nich rozumuje ściślej i ostrożniej? Stanowczo drugi — optymista. On bowiem wprowadza do rachuby niewiadomą, jakieś X., które pierwszy usuwa i upraszcza sobie rozwiązanie kosztem ścisłości. Chory ma raka — więc musi umrzeć, ale bywają niezmiernie rzadkie wypadki, w których nie umiera. Na tym maleńkim wyjątku opiera się czasem nadzieja. Optymizm tedy — nie mówię tu naturalnie o wesołych cielętach i zadowolonych wieprzach — ma swoje bardzo poważne racye, wypływające z niemożności ujęcia wszystkich czynników działających w życiu ludzkiem i wytwarzających łańcuch przyczyn i skutków. Zwłaszcza polityka, ta ruleta, w której rozgrywają się stawki domysłów z najbardziej nieprzewidzianym rezultatem, dostarcza wymownych pod tym względem przykładów. Przypomnijmy sobie takie położenie: jest minister, który uplanował kilka zwycięzkich wojen, rozbił silne mocarstwa i zabrał im dzielnice, zjednoczył swój naród w potężne państwo i otoczył je blaskiem wyjątkowej chwały; za to wszystko stał się przedmiotem bałwochwalczej uległości ze strony monarchy, a prawie pokory ze strony jego następcy. Jeśli panujący mówi publicznie o tym swoim ministrze: „on jest chorążym, za którym my iść powinniśmy,“ czy podobna przewidzieć, że on tego zasłużonego, wszechwładnego, ubóstwianego chorążego wypędzi z urzędu? A przecież tak zrobił Wilhelm II z Bismarkiem. Przypuśćmy teraz, że ów Bismark był źródłem pesymizmu dla wielu ludzi, którzy upatrywali w nim uosobienie złej woli i okrucieństwa, a widząc go w zdrowiu i przy władzy, mniemali, że on jeszcze długo będzie jej nadużywał. Jednocześnie mógł się znaleźć jakiś optymista, żywiący nadzieję, że Aryman wkrótce upadnie. Kto w tym wypadku nie omylił się? Zapewne, nie ma często myśli naiwniejszych, niż wszelkie nadzieje, ale przyznać trzeba, że one bardzo często są jedynym bodźcem, wzmacniającym słabnącą energię człowieka. Czem on żyje przygnieciony nieszczęściem lub powalony chorobą? Po co zresztą mamy brać położenia najgorsze — czem żyje każdy? Znajdźmy między sobą najszczęśliwszego i powiedzmy mu tak: za rok dostaniesz tyfusu, za dwa lata najdroższa ci istota złamie rękę; za trzy — okradną cię; umrzesz zaś roku... dnia... na zapalenie płuc! Człowiek ten odrazu stałby się nieszczęśliwym i o niczem by nie myślał, tylko o tych katastrofach, które go niechybnie spotkać mają. Niezasmucony temi wróżbami, czerpie on swe zadowolenie z nadziei, że ani nie dostanie tyfusu, ani nikt z ukochanych przez niego nie złamie ręki, ani go nie okradną, a chociaż nie wątpi, że umrze, sądzi, że tej konieczności ulegnie jeszcze bardzo nieprędko. Gdyby apostolstwo pesymizmu opierało się na obliczeniach ścisłych, wyłączających wszelką omyłkę, miałoby przynajmniej na swe usprawiedliwienie to, że głosi prawdę. Ale kto zdoła stanowczo orzec, że Piotr nie będzie bogatym, że Jan nie będzie artystą, że Paweł nie będzie żonatym? Wszyscy profesorowie szkolni Matejki zgadzali się na to, że z niego wszystko być może, tylko nie malarz. Naturalnie my musimy wnioskować na zasadzie prawdopodobieństw i posługiwać się przypuszczeniami, gdyż inaczej nie moglibyśmy ani wyjrzeć po za chwilę bieżącą, ani zrobić jakiegokolwiek planu, ale ile razy nasze przewidywania nabierają wagi wpływów praktycznych, powinniśmy je szczepić bardzo ostrożnie.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przewozowy. Ku granicy południowej i zachodniej w ostatnich czasach płynie coraz więcej towarów. Na kolejach Południowo-Zachodnich skutkiem obfitej dostawy zboża i cukru, zabrakło nawet wagonów. Na kolei Łozowsko-Sewastopolskiej przebiega dziennie 500—600 wagonów. Dowóz do Odesy jest tak znaczny, że Towarzystwo kolei Południowo-Zachodnich wobec przepełnienia elewatora, musiało uciec się do użycia wagonów na przechowywanie zboża. Zapasy tego ostatniego doszły w Odesie do 7 milionów pudów. Wywóz ziarna z portów południowych bardzo ożywiony, chociaż wywołany jest głównie potrzebą pokrycia dawnych zobowiązań kontraktowych względem nabywców zagranicznych. Ruch towarów zbożowych na granicy pruskiej o wiele jest większy, aniżeli we wrześniu. W ciągu 25 pierwszych dni października przewieziono na kolei Malborsko-Mławskiej z granic państwa ruskiego 2,387 wagonów, w ciągu zaś całego września przewieziono ich tylko 979. W transportach owych najwybitniejsze miejsce zajmują towary zbożowe. W ostatnich zaś czasach spirytus i cukier zaczął napływać. Również panuje znaczny ruch wzdłuż granicy zachodniej i na kolei Nadwiślańskiej. Pomimo utarczek celnych, ruch ten wzmaga się ciągle. Między innemi wywóz zboża przez Grajewo i za pośrednictwem kolei Wschodnio-Pruskiej, idzie bardzo pomyślnie.

Wystawa pszczelnicza w Petersburgu objęła następujące działy: 1) Produkty pszczelnictwa: miód, wosk, klej i łakocie, robione na miodzie. 2) Ule. 3) Zbiory roślin, które dają główne pożywienie pszczołom, nasiona, tudzież zbiory tych roślin w stanie suchym (herbaria). 4) Narzędzia, używane przez pszczelarzy. 5) Literatura pszczelnicza. 6) Sekcya naukowo-pedagogiczna, w której są typy ulów, służących do objaśnień, udzielanych kandydatom do zawodu pszczelarskiego, tudzież preparaty, dostarczone przez wychowańców pasiek wzorowych. Między innemi pokaźną kolekcyę wystawiło warszawskie Muzeum pszczelnicze. Są tu ule ramowe i prasy do wosku, własnego pomysłu i wyrobu (przywiezione przez pp. Stanisława i Feliksa Sawickich). miodarki (centryfugi do wytrząsania miodu), wreszcie liczne przybory pszczelarskie: maszynki do wosku, noże, czerpaki, skrobaczki, różne sita — wszystkie natychmiast po otwarciu wystawy rozprzedano. Wystawa niniejsza stanowi pewien całokształt obecnego stanu pszczelnictwa w państwie ruskiem. Nagromadzone okazy świadczą o znacznych postępach w tej dziedzinie produkcyi. Nie jest ona atoli jeszcze silną; stawia zaledwie pierwsze kroki i ma przed sobą do zwalczenia wiele rutyny i uprzedzeń. Pszczelnictwo dziś jeszcze przez większość właścicieli ziemskich i przez lud traktowane jest bądź pierwotnie, bądź lekceważone. Podczas gdy za granicą stanowi ono poważną gałąź przemysłu. W Ameryce np. istnieją hodowcy pszczół, posiadający po kilkanaście tysięcy uli. Częste wystawy, otwieranie szkół specyalnych i wprowadzenie praktycznej nauki pszczelnictwa w szkółkach ludowych, może znacznie się przyczynić do rozwoju tej gałęzi gospodarstwa, tem bardziej, że całe państwo posiada bodaj największe w Europie bogactwa roślin, dających pożywienie pszczołom i pielęgnowanych wyłącznie przez naturę.

Konwersya. Skutkiem kampanii przedsięwziętej przez mińskie Towarzystwo rolnicze przeciwko bankom ziemskim, w tych dniach odbędzie się nadzwyczajny zjazd akcyonaryuszów owych instytucyi. Mają oni uchwalić konwersyę listów zastawnych 5% na 4½% bez powiększenia liczby lat, przeznaczonych na amortyzacyę pożyczki. Przy konwersyi akcyonaryusze pragną zaspokoić żądania ziemian dłużników. Ci jednak domagają się czego innego, mianowicie: 1) Pobierania na umorzenie długu co najmniej ½ % i zmniejszenia procentu, pobieranego przez banki na własną korzyść (na kapitał zapasowy, administracyę i dywidendę); dotychczas banki pobierały na własną korzyść ¾ % i tylko ¼ % na amortyzacyę pożyczki, która dzięki temu trwała 61 lat i 8 miesięcy. Dalej żądają: 2) zmniejszenia kar, ściąganych z dłużników, zalegających w opłacie rat (zamiast 1% mies. pobierać ½ %). W celach konwersyi delegaci Towarzystwa rolniczego udają się do Petersburga. Do składu komisyi wchodzą: pp. Karol hr. Czapski, hr. Łubieński, Eugeniusz Kowalewski, dr. Zygmunt Święcicki, marszałek hr. Tatiszczew i Edward Woyniłłowicz.

— Z utworzeniem zreformowanego ministeryum dóbr państwa i rolnictwa zarządy górnicze w Dąbrowie i Suchedniowie pozostaną bez zmiany. Do spraw ekonomiczno-gospodarskich utworzony będzie nowy wydział w Warszawie dla Królestwa Polskiego. Organizacya centralnego zarządu leśnego ulegnie zmianom. Działalność departamentu leśnego wogóle nie będzie wkraczać po za obręb czynności, dotyczących ściśle spraw leśnych, jako to: inspekcyi, zarządu i ochrony lasów i zawiadywania szkołami leśnictwa. Wobec tego wyłączone będą z czynności departamentu wszelkie sprawy czynszowe, majoraty w Królestwie Polskiem, podatki gruntowe, osuszanie błot i sprawy miernicze. Po wyłączeniu tych spraw z departamentu leśnictwa, skasowany w nim będzie tymczasowy oddział, zawiadujący dobrami państwa w Królestwie Polskiem, natomiast powstanie nowy oddział ochrony lasów. Wreszcie utworzony będzie nowy wydział melioracyi rolnych, w zakres zaś jego czynności wejdą: sprawy, dotyczące osuszania błota, irygacyi, krępowania wydm piaszczystych itd.

— W warszawskich fabrykach machin i odlewów żelaznych zapanował ruch ogromny. Zamówienia płyną obficie. Dzięki temu, niema obecnie ograniczeń liczby robotników, co się zwykle zdarzało przed zimą.

— W Humaniu działa kilku agentów zbożowych z Warszawy. Skupują ozimą pszenicę, żyto i jęczmień. W ostatnich czasach wysłali do Warszawy przeszło 50 wagonów zboża. (*Birż. wied.*).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Obostrzone przepisy przeciw żebraninie zastosowano na prowincyi, głównie w gub. warszawskiej. W ciągu ostatnich kilku tygodni pociągnięto do odpowiedzialności sądowej w Skierniewicach, Kutnie, Łowiczu, Radzyminie, Włocławku i Nowym Dworze 596 osób żebrzących, a około stu, jako niestałych mieszkańców, wysłano do miejsc urodzenia. Jednocześnie zawiadomiono władze policyjne gminne, ażeby żebrakom nie wydawały posportów.

— Wkrótce wszelkie towarzystwa, mające charakter dobroczynności publicznej, będą obowiązane nadsyłać do misteryum spraw wewnętrznych nie tylko sprawozdania roczne o swej działalności, ale także uzasadnione należycie wnioski co do konieczności dalszego ich istnienia. (*Rusk. żizń*).

— W Krakowie 4-go b. m. otwarto zakład dla zaniedbanych chłopców, fundacyi Lubomirskiego.

Szkoły. Szkoła pszczelnictwa i ogrodnictwa w Lublinie przestaje istnieć z powodu iż jej kierownik, p. Fr. Bartkiewicz, przenosi się na posadę nauczyciela szkoły elementarnej w Wąwolnicy.

— Z dn. 13 b. m. powstanie w Wilnie szkoła rolniczo-techniczna. W tym celu już utworzono specyalną komisyę, której przewodniczy kurator miejscowy. Miasto ofiarowało na rzecz szkoły kamienicę, grunt dla fermy doświadczalnej i 4,000 rs. rocznego zasiłku. Nadto, skarb państwa przeznacza na utrzymanie zakładu 23,766 rs. rocznie. Część tej sumy będzie użyta na urządzenie warsztatów technicznych i melioracye rolne na fermie, na kupno bydła itd. Uczniowie, oprócz gospodarstwa rolnego będą się uczyli ogrodnictwa i sadownictwa. W pierwszym roku będzie 150 miejsc.

Sprawy kolejowe. Budżet kolei Nadwiślańskiej na rok przyszły przewiduje dochodu ogółem 4,795,150 rs. Najważniejszą rubrykę stanowi przewóz towarów za frachtami zwyczajnymi (103,000,000 pud.) — 3,059,100 rs. Na wsparcia dla całego personelu służby przeznaczono 25,000, z tej sumy na utrzymanie szkółki kolejowej na stacyi Mława 841 rs. i na st. Praga 2,524, dla dwóch ochronek na Nowej Pradze 750 rs. Wszystkie wydatki na utrzymanie kolei w r. p. obliczono na rs. 3,786,280. Czystego zysku Towarzystwo się spodziewa 1,008,870 rs.

— Zatwierdzono projekt przeprowadzenia nowej odnogi kolejowej od stacyi Jabłonna kolei Nadwiślańskiej do Zegrza. Budowa rozpocznie się na wiosnę.

Zdrowie publiczne. Dyrekcya pruskich kolei państwowych zawiadomiła zarządy tutejszych, iż podróżni, jadący w kierunku Danii przez Prusy podlegać będą ścisłej rewiryi sanitarnej. Pakunki będą dezinfekowane.

— Otwarto bezpłatną herbaciarnię i kuchnię ludową w okolicach rogatki powązkowskiej, ze względu na wyjątkowe warunki zdrowia ogólnego.

Wypadki. W Zakopanem największy hotel, ulubiony przez publiczność, zwany Jadwinówka, zgorzał zupełnie.

— Parowiec „City Alexandria“ z powodu zapalenia się spirytusu spłonął pod Hawaną, 34 osoby zginęły.

Zmarli. Piotr Czajkowski w Petersburgu, słynny kompozytor ruski, zmarł na cholerę. Urodz. r. 1840 w Wotkińsku gub. wiackiej. Kształcił się pod kierunkiem prof. Zaremby i Rubinsteina. W r. 1866 został powołany przez tego ostatniego do objęcia katedry harmonii, kompozycyi i historyi w konserwatoryum moskiewskiem gdzie przebywał do r. 1877. Od r. 1878 oddał się zupełnie pracy kompozytorskiej. Ważniejsze utwory, opery: Wojewoda, Oprysznik, Ondyna, Kowal Wakuła, Dziewica Orleańska, Mazepa, Eugeniusz Onegin.

— Dr. Roepell we Wrocławiu, profesor historyi przy uniwersytecie tamtejszym. Ważniejsze prace. „Monarchia Piastów od r. 850 do 1300,“ „Polska w połowie XVIII wieku,“ „Życie ks. Karola Radziwiłła“ i inne. Zmarły liczył 85 lat.

— Wojciech Guglielmontti, w Rzymie sławny dziejopisarz. Ważniejsze prace: „Dzieje marynarki papieskiej,“ „Marek Antoni Colonna w bitwie pod Lepantem,“ „Eskadra pomocnicza w Kandyi i Morei.“ „Ostatnie wypadki w Korfu i Egipcie od r. 1700 do 1807“ i inne. Wielką popularność zyskał jego „Słownik morski i wojskowy.“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Октября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.